



Bez **precedensu...**
Jerzy Milczarek

Patronat honorowy



Patronat medialny

Hodowca i Jeździec

Bez **precedensu...**

Jerzy Milczarek

Od Wydawcy

Oddajemy w Państwa ręce zbiór wspomnień Jerzego Milczarka – łodzianina, absolwenta tamtejszego uniwersytetu i wieloletniego pracownika Centrali Handlu Zagranicznego Animex, ale przede wszystkim pasjonata koni i jeździectwa.

Nie doszłoby do tej publikacji, gdyby nie ogromne zamiłowanie do koni, które zrodziło się we wczesnej młodości Autora. Już wtedy, podczas wakacji u wujka, mały Jurek nie przepuszczał okazji, by dosiąść pasących się luzem „grubasów” i na oklep, z paskiem od spodni zamiast wodzy, galopować po łąkach. Poświęcić się swej pasji mógł jednak dopiero kilka lat po studiach, gdy objął pasadę w Animexie, nieistniejącym już monopoliście na rynku eksportu i importu zwierząt. W tym okresie miała miejsce większość niezwykłych wydarzeń, o których mogą Państwo dalej przeczytać.

Swoim zamiłowaniem do koni Jerzy Milczarek zaraził dwie córki. Starsza – Katarzyna – jest znaną w kraju i za granicą zawodniczką, olimpijką, wielokrotną medalistką i mistrzynią Polski w ujeżdżeniu. Młodsza – Karina – także przez kilkanaście lat z powodzeniem uprawiała tę dyscyplinę sportu. Syn Krzysztof – doktor nauk medycznych – mimo że na konie siadał raczej incydentalnie, to rysował je z upodobaniem. Próbką jego talentu zdobi okładkę i wewnątrz niniejszej publikacji.

Skąd wziął się tytuł zbiorku? Otóż aktywność na rynku wydawniczym jest dla Autora wydarzeniem bez precedensu. Podobnie jak opisywane tu historie, oparte na rzeczywistych zdarzeniach, publikowane w większości w kwartalniku „Hodowca i Jeździec” w latach 2015-2017.

Mamy nadzieję, że poddane niewielkim modyfikacjom i uzupełnione o kilka niepublikowanych dotąd tekstów, rysunków i fotografii, spotkają się z Państwa pozytywnym przyjęciem.

Miłej lektury!

Bezprecedensu...

1 | **pod każdym
względem**



Hodowla koni arabskich na ziemiach polskich ma ponad 300-letnią historię. Jej początki wiąże się ze sprowadzeniem do kraju pierwszych klaczy i ogierów z terenów zamieszkiwanych przez ludność arabską. Jednak import tych koni miał dużo szerszy zasięg i znaczenie. Ogiery orientalne sprowadzone do Anglii w XVIII wieku dały początek koniom określanym dzisiaj jako „pełna krew angielska”. Zaś szerokie użycie „araba” i „anglika” w europejskiej hodowli koni skutkowało z kolei powstaniem różnorodnych ras koni szlachetnych półkrwi. Można zatem przyjąć, że zdecydowana większość koni użytkowanych dzisiaj w Europie i świecie powstała dzięki przodkom importowanym do Europy z Bliskiego i Środkowego Wschodu. Od wieków tak ukształtowany kierunek przemieszczania się koni zarodowych zakłócony został przez pewien bezprecedensowy incydent, który miał miejsce na początku lat 70. ubiegłego stulecia.

Był początek grudnia 1971 roku. Statek M/S „Sandomierz” odcumowywał od kei portu towarowego w Gdańsku. Po długim załadunku, 25 boksów-klatek zadaszonych przez gdańskich dokerów stało na pokładzie jedna przy drugiej. Odetchnąłem z ulgą, choć w głowie kłębiły mi się jeszcze wspomnienia ostatnich tygodni...

Zakup przez delegację rządu i policji Kuwejtu kilkudziesięciu polskich koni półkrwi do celów hodowlanych po znakomitych, jak na tamte czasy, cenach był wydarzeniem bez precedensu w historii polskiego eksportu i nie miał miejsca już nigdy potem. Dla nowego, młodego i pełnego energii szefa sekcji eksportu koni sportowych i hodowlanych w nieistniejącej już Centrali Handlu Zagranicznego Animex, jakim byłem, transakcja ta wydawała się życiowym osiągnięciem.

Do sprzedaży wyselekcjonowano 25 rosnących koni rasy wielkopolskiej: 24 klacze, w tym kilka żrebnych i jednego ogiera.

Załadunek
w Gdańsku
fot. A. Wąsowski



Wysocy policjanci kuwejccy na rodzimych arabach wyglądali niepoważnie, żeby nie powiedzieć – śmiesznie. Zwiększając wysokość koni, policja Kuwejtu chciała podnieść swój prestiż i zwiększyć respekt społeczeństwa dla tamtejszych stróżów prawa.

Kontrakt stanowił, że strona polska była zobowiązana dostarczyć „towar” drogą morską na nabrzeże w porcie Bejrut w Libanie. Po naszej stronie leżały też wszystkie związane z tym koszty i całe ryzyko. Warunki kontraktu, niestandardowy charakter przesyłki i jej wartość nie pozostawiały wątpliwości, że w podróż musiałem udać się osobiście. W skład niewielkiej ekipy wchodził także masztalerz i dr Adam Wąsowski, którego zadaniem było zabezpieczenie zdrowia i kondycji transportowanych koni.

Właśnie rozpoczynała się podróż, która miała wyryć trwały ślad w naszej pamięci...

Tony spienionej wody

Bałtyk tamtego roku okazał się dla nas łaskawy. Wiał umiarkowany jak na tę porę roku wiatr, a prowizoryczna drewniana stajnia sprawowała się bez zarzutu. Po dwóch dobach, doświadczając przyjemności kapitańskiej kuchni i dobrze zaopatrzonego barku, dotarliśmy do Kanału Kilońskiego. Tam podczas krótkiego postoju i rutynowej odprawy staliśmy się obiektem zainteresowania grupki fotoreporterów. Myśleliśmy naiwnie, że to niezwykła stajnia na wysokim pokładzie budzi taką ciekawość, jednak dopiero czas miał ujawnić prawdziwy powód tego zainteresowania.

Po kolejnych kilku dobach żeglugi minęliśmy kanał La Manche, a następnie wpłynęliśmy na Zatokę Biskajską, gdzie wiatr się wzmógł. W pełni załadowany i głęboko zanurzony statek, z dodatkowo wysoko zabudowanym pokładem, ciężko walczył z naporem wiatru i wysoką falą. Dowodzący statkiem kapitan podjął decyzję, żeby płynąć jak najbliżej linii brzegowej. Statkiem rzucało we wszystkie strony. Tony spienionej wody na zmianę obniżały się i podnosiły, grożąc zalaniem. Choroba morska nie dawała spokoju zarówno załodze, jak i pasażerom. Obsługa lub dozór powierzonych nam koni w tych warunkach był bardzo trudny. Z przerażeniem patrzyliśmy na ich zmęczenie, a kurczące się przy każdym przechyle mięśnie klatek piersiowych prowokowały do dodatkowych, pilnych wizyt na rufie.

Czas w sztormie zdawał się ciągnąć bez końca. Mijane nocą wybrzeże Portugalii, a zwłaszcza rozświetlona Lizbona dostrzeżalna gołym okiem, to rzadkie i niezapomniane radosne chwile. W jakiś czas później skały u wejścia do Cieśniny Gibraltarskiej, groźnie sterczące w mrocznej bliskości przepływającego w sztormie statku, budziły nieodparte skojarzenia z historią 1943 roku. Po chwili byliśmy już na Morzu Śródziemnym.

Pan Kazio
podczas
codziennego
czyszczenia
boksów
fot. A. Wąsowski



Kadłubem o skałę

Było ciężko, ale zaczynało się robić jeszcze gorzej... Jedna ze żrebnych klaczy ze Stadniny Koni Rzeczna zachorowała. Na domiar złego wiatr ciągle tężał, by na wysokości Sycylii przerodzić się już w potężny sztorm. Chora klacz słabła. Stajnia była coraz bardziej zagrożona zmyciem z pokładu. Ludzie ledwo żyli. Do tego gdy wreszcie zbliżyliśmy się do upragnionego Bejrutu, w odległości kilku mil morskich od brzegu okazało się, że w porcie nie ma miejsca. Byliśmy 21. statkiem oczekującym na wejście. Nie pozostawało nic innego jak przeczekać noc, w warunkach sztormowych, na redzie, która w Bejrucie jest zwykłym kotwicowiskiem na otwartym morzu.

Pamiętam jak dziś. Była to noc z 20 na 21 grudnia. Spychająca na brzeg sztormowa wichura nie pozwalała utrzymać się w dostatecznie bezpiecznej odległości od brzegu. Każdy z 20 oczekujących statków co jakiś czas uruchamiał maszyny, wrywał kotwice i odpływał w morze, by ponownie rzucić je

dalej od lądu. I tak godzinami. Około 23.00 kapitan rozpoczął manewr po raz kolejny. Tym razem jednak decyzja podjęta została zbyt późno...

Siedzieliśmy w mesie. Oprócz mnie, dr. Adama, masztererza pana Kazia, przebywało tam jeszcze kilku marynarzy. Nagle poderwał nas potężny huk, za sekundę drugi. Uderzenie takie, że wyskoczyliśmy w górę. W kilka sekund potem wpadł do nas czarny jak upiór, zalany mazutem marynarz z maszynowni, wrzeszcząc:

– *K...a, rozpier....to całą maszynę, idziemy na dno!*

Ogarnęła nas kompletna cisza i ciemność. Słychać było tylko świst wichury. Gdy wybiegliśmy na pokład w obawie przed najgorszym, wokół statku widać już było pływającą ciemną maź. To mazut, paliwo statku. Zrobiło się jakoś spokojniej. Mniej kiwało.

Statek uderzył dolną częścią żelaznego kadłuba o podwodną skałę. Na nasze szczęście zniszczeniu uległo tylko pierwsze, zewnętrzne poszycie. Statek utrzymywał się na wodzie, ale był niesterowny. W sytuacji zagrożenia życia władze portowe wydały decyzję wprowadzenia nas do portu jako pierwszych... pod warunkiem, że przetrwamy do rana. W nocy, w warunkach sztormowych, manewr wprowadzenia niesterownego i tak dużego statku jak nasz był niemożliwy.

Kompletnie zdewastowana maszynownia, nieczynne wszystkie urządzenia, światło, ograniczone do minimum, pozyskiwane z agregatu... Wobec tych zniszczeń i groźby zatonięcia zgromadzonych na statku ogarnęło przerażenie i rozpacz. Wiara, że może uda się doczekać świtu, powróciła dopiero po godzinie, gdy wiatr zaczął wiać z mniejszym natężeniem. Wczesnym

rankiem przybyła pomoc. Z niedowierzaniem patrzyliśmy na podpływający holownik, który za pomocą jednej liny, w silnym ciągle jeszcze wietrze, miał wprowadzić uszkodzony M/S „Sandomierz” do portu. Miejscowy skiper z niebywałą wprawą na przemian to popychał, to pociągał statek, by ostatecznie dopiąć swego. Stanęliśmy w końcu bezpieczni w bejruckim porcie. Nie był to jednak koniec naszych przygód...

Bez pieniędzy, wiz i sił

Tuż po zacumowaniu rozpoczął się rozładunek wymęczonych podróżą koni. Boksy przenoszone były na ląd przez dźwig portowy. Wszystko szło dobrze dopóty, dopóki dźwigowy nie ruszył z pokładu klatki z chorą klaczą z Rzeczej. Będąc jeszcze wysoko w powietrzu, osłabiony koń stracił równowagę i przechylił się, wypychając zadem część tylnego zamknięcia klatki. Niedoświadczony i najprawdopodobniej, tak samo jak my, przerażony dźwigowy stracił głowę i szybko, zbyt szybko, zwolnił linę. Klatka poleciała w dół, uderzając z dużą siłą o nabrzeże. Klacz zginęła na miejscu.

Obecny na nabrzeżu konsul Kuwejtu potwierdził, że wina za ten wypadek leżała po stronie odbiorcy, ale równocześnie oświadczył, że dostał od swojego rządu polecenie, abyśmy nadzorowali dostawę do końca – to znaczy do miasta Kuwejt. Na nic zdały się nasze argumenty: że kontrakt stanowił inaczej, że nie mieliśmy ani dostatecznej ilości pieniędzy i wiz, ani sił, aby podjąć się dalszej podróży. W końcu, po otrzymaniu zapewnienia, że ambasada Kuwejtu załatwi wszystko, oraz po uzyskaniu zgody Warszawy zdecydowaliśmy się dowieźć konie do celu...

Do dyspozycji dostaliśmy taksówkę, taksówkarza mówiącego po angielsku i kilku Arabów do pomocy. Zapewniono nas też, że taksówkarz będzie miał pieniądze umożliwiające



Transport lądem
fot. A. Wąsowski

nam uiszczenie opłat tranzytowych, kupno żywienia czy wynajem hotelu.

Na pięć odkrytych ciężarówek typu *long vehicle* załadowano pozostałe 24 konie w tych samych kłatkach, w których przyplnęły z Polski. Wczesnym popołudniem ruszyliśmy w kierunku Damaszku. Przejście graniczne między Libanem a Syrią pokonailiśmy bez przeszkód. Gdy konwój osiągnął Damaszek, nastąpiła wymiana taksówkarzy. Odtąd byliśmy wiezieni przez syryjskiego kierowcę.

Bakszysz nie działa

Po niedługiej przerwie na napojenie koni ruszyliśmy w kierunku Iraku. Po kilku godzinach, jeszcze na terytorium Syrii, droga asfaltowa się skończyła i dalej jechaliśmy już piaszczystym szlakiem wyznaczonym starymi koleinami. Trwało to kilka godzin. Zachodziłem w głowę, jak w dobie braku GPS-u i bez kompasu kierowcy orientowali się w kierunku jazdy. A orientowali się znakomicie. Z godzinnym wyprzedzeniem poinformowano

bakszysz –
napiwek, łapówka
na Bliskim
Wschodzie

nas, że zbliżamy się do granicy syryjsko-irackiej i po kolejnej godzinie osiągniemy punkt kontroli paszportowo-weterynaryjnej. W Syrii odprawa przebiegła bezproblemowo. Mieliliśmy nadzieję, że także w Iraku będzie podobnie. Zaczął nas odprawiać młodziutki, nieznający języka angielskiego lekarz weterynarii. W porozumieniu pomagał taksówkarz. Dowiedzieliśmy się, że nasz transport musi zostać zatrzymany na dwutygodniową kwarantannę. Do tego polecono, aby konie pozostały cały czas na ciężarówkach, bo w okolicy nie było ani stajni, ani padoku. Nie było także wody, siana ani słomy... Niczego... Otaczała nas tylko pustynia, a standard punktu granicznego przypominał wierzę kontrolną na smoleńskim lotnisku w 2010 roku.

Wymęczone dotychczasową podróżą konie już i tak były w opłakanym stanie. Perspektywa kolejnych dwóch tygodni w takich warunkach groziła unicestwieniem zwierząt. Podjąłem rozpaczliwe próby porozumienia się z ambasadą Kuwejtu w Bagdadzie, ale na tym odludziu nie było to możliwe. Przecięż, w tamtym czasie, telefony komórkowe jeszcze nie istniały. Kilka prób załatwienia sprawy bakszyszem także spetzło na niczym. Weterynarz był nieugięty. Mijały godziny, a ja traciłem nadzieję. Nagle i niespodziewanie, spokojny i zwykle bardzo opanowany dr Adam wyciągnął z taksówki jedną z dwóch walizek, które zabrał ze sobą z Warszawy i nic nie mówiąc nikomu, udał się do pomieszczenia lekarza. Mijały minuty, godzina, a może więcej, wreszcie wyszedł jakiś uśmiechnięty, ale bez walizy. Podbiegliśmy do niego z panem Kaziem, pytając:

— No i co? Co?

Na co doktor odpowiedział tryumfalnie:

— *Zbieramy się. Za apteczkę, którą miałem na potrzeby tej delegacji, puścili nas dalej. Ale teraz nie mam już żadnych leków...*

Do dzisiaj zachodzę w głowę, dlaczego na irackim weterynarzu, który wielokrotnie odmówił przyjęcia pieniędzy, ta apteczka zrobiła takie wrażenie. W tamtym czasie prawie wszystkie leki weterynaryjne były polskiej produkcji, a jeśli nie, to etykiety i opakowania przewożonych przez nas medykamentów były w języku polskim. Wydawało się, że możliwości wykorzystania tego skarbu były niemal żadne.

Po wielu straconych godzinach dotarliśmy w końcu do Bagdadu. Tam ponownie nastąpiła zmiana taksówki i taksówkarza, który tym razem miał nas już dowieźć do samego Kuwejtu.

Burza piaskowa

Konie nie piły przeszło dwie doby, więc ustaliliśmy, że kierowcy ciężarówek pojadą pierwsi i zatrzymają się na pojenie w znanej im oazie na trasie Bagdad – Basra. Nasza taksówka podążała w pewnej odległości za nimi. Po pewnym czasie na horyzoncie zauważyliśmy kępę soczystej zieleni i górujących nad nią palm, co szczególnie ostro kontrastowało z piaskiem dookoła. Podjechaliśmy i zobaczyliśmy, że nasi kierowcy prowadzą bardzo burzliwą dyskusję z właścicielem oazy. W pewnym momencie gospodarz zniknął za drzwiami domu. Po chwili wyskoczył znów, tym razem z karabinem skierowanym w naszym kierunku. Ruszyliśmy natychmiast. Jak się potem dowiedzieliśmy, chodziło o to, że według właściciela studni wybranie wody w ilości potrzebnej dla 24 koni załatwiłoby studnię na amen.

Jechaliśmy więc dalej, bez pojenia. Po pustej asfaltowej szosie w samym środku piasków pustyni samochody poruszały się z łatwością. Zatrzymaliśmy się jednak bez wahania, gdy na poboczu pojawił się nagle zajazd – niewielka buda z blachy falistej. Po 24 godzinach niejedzenia podptomyk przypomina-

jący w smaku dobrze wyżutą gumę i czarna zupa ze sporym warzywem, podobnym do buraka, a smakującym jak brukiew, smakowały całkiem nieźle.

Gdy po skończonym posiłku ruszyliśmy w dalszą drogę, niespodziewanie ładna słoneczna pogoda w ciągu zaledwie paru minut zmieniła się w koszmar. Znaleźliśmy się w środku burzy piaskowej. Zaczął wiać dość silny wiatr, wokół zrobiło się czerwono od pyłu. Piasek unosił się niemal wszędzie. Maść koni po paru chwilach zmieniła się w brudny kasztan. A ich oczy, wielkości oczu niewyspanego chińczyka, stały się przekrwione i spuchnięte. Po godzinie, może dwóch takiej jazdy wszystko skończyło się tak samo nagle, jak się zaczęło.

U celu podróży

Niedługo potem osiągnęliśmy granicę iracko-kuwejcką. Czekała tam na nas już delegacja miejscowej policji i straż graniczna. Sami mężczyźni, eleganccy, wysocy, w pięknych śnieżnobiałych galabijach. Po przyjeździe z siermiężnego już wówczas Iraku Saddama Husajna naszym oczom ukazał się całkiem inny świat. Bogaty Kuwejt z luksusowymi samochodami zrobił na nas ogromne wrażenie. Na zaproszenie wicešefa tamtejszej policji przesiedliśmy się do eleganckiego Bentleya i dojechaliśmy już bez koni do stolicy kraju.

Następnego dnia pokazano nam stajnie, w których umieszczono konie z Polski. Były to boksy z otwartymi górami bokami, zadaszone. Całe w pięknej glazurze i terakocie. Śmiałyśmy się, że jej trzeci gatunek moglibyśmy mieć w naszych domowych tazienkach w Warszawie. Następnie wzięliśmy udział w organizowanej przez policję paradzie. Część z prezentowanych koni stanowiły nasze, przywiezione z Polski. Prezentowały się naprawdę dobrze. Aż dziw, że po tych wszystkich przeżyciach

galabija - długie
i luźne wierzchnie
okrycie noszone
przez Arabów



Przygotowanie
do parady
fot. A. Wąsowski

tak szybko udało im się zregenerować. Tylko oczy pozostały czerwone i wąskie jak szparki...

Tego samego dnia po południu pokazano nam jeszcze zapisy, a następnie przebieg kilku gonitw miejscowych koni arabskich. Rozgrywane były w bezpośredniej bliskości miasta, w szczerym polu, to znaczy na otwartej pustyni. Wokół wytyczonych na piasku linii startu i mety stało sporo ludzi robiących zakłady. Wszystko pod gołym niebem i na stojąco.

Następnym dniem była Wigilia Bożego Narodzenia. Mimo nadchodzących świąt czuliśmy się jakoś nieswojo, smutni i wyobcowani. Stale nie pozwalano nam wrócić do Polski. Codziennie musieliśmy odpowiadać na wiele pytań z zakresu żywienia, stajówek itp. Ze swojej strony chcieliśmy wiedzieć, skąd w tej części świata tak świetne siano dla koni. Dowiedzieliśmy się, że Kuwejt importuje je samolotami m.in. z Europy. Wreszcie poinformowano nas, że mamy zarezerwowane bilety na samolot wylatujący 2 stycznia.

Zbliżał się nowy rok 1972. W objętym pełną prohibicją Kuwejcie świętowanie sylwestra tradycyjną lampką szampana nie wchodziło w grę. Z pomocą przyszedł nam jednak polski konsul, który nie kryjąc słabości do Animexu (skąd został wydelegowany na placówkę), dał nam w prezencie butelkę koniaku. W tamtych okolicznościach był to prezent wyjątkowy.

„Zielony groszek”

Wróciliśmy do kraju zgodnie z zapowiedzią gospodarzy – 2 stycznia. Już na miejscu, z Radia Wolna Europa, dowiedzieliśmy się o aferze, której byliśmy nieświadomymi uczestnikami. Okazało się, że M/S „Sandomierz”, który transportował nasze konie, wcześniej, jeszcze przed ich przyjazdem do portu, załadował pod pokład amunicję i broń przeznaczoną dla Syrii. Wszystko wyszło na jaw w Bejrucie na skutek zderzenia ze skałą. Tam bowiem, a nie – jak planowano – w syryjskim porcie Latakia, musiał zostać całkowicie rozładowany. Ujawniono również, że wywiad zachodni wiedział, co wiezie M/S „Sandomierz”, co tłumaczyło szczególne zainteresowanie nami w Kanale Kilońskim. To nie stajnia, nie konie na otwartym pokładzie, ale „zielony groszek” – jak nazywano wtedy tego rodzaju produkt eksportowy – był przyczyną uwagi i dokumentacji, jaką nam zafundowano.

Z perspektywy czasu mogę dziękować Bogu za to, że co najmniej trzykrotnie udało nam się wyjść cało z tej eskapady. Po pierwsze, że nie wylecieliśmy w powietrze po uderzeniu statku o skałę. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby stwierdzić, że groźba wybuchu „zielonego groszku” była bardzo realna. Następnie – że nie utonęliśmy na redzie w Bejrucie. No i ostatecznie, że udało się nam nie dopuścić do unicestwienia 24 koni na irackim pograniczu.



— Trasa naszej podróży

Bezprecedensu...

21 WAHO i wiadro kawioru



Początek lat 70. XX wieku był okresem intensywnych konsultacji wśród hodowców koni czystej krwi arabskiej. W odpowiedzi na potrzebę międzynarodowego uregulowania statusu i reguł dotyczących hodowli koni tej rasy, w tym przede wszystkim zdefiniowania pojęcia „konia czystej krwi arabskiej”, zrodziła się inicjatywa powołania międzynarodowej organizacji hodowców konia arabskiego (przyszła World Arabian Horse Organization). Miało to miejsce w Londynie w 1970 roku podczas konferencji zorganizowanej przez angielskie Arabian Horse Society, w której udział wzięli przedstawiciele siedmiu krajów, między innymi Polski.

Dwa lata później, w Sewilli, miała miejsce pierwsza oficjalna konferencja WAHO. Za jej główne cele stawiano: sfinalizowanie – w formie pisemnej – dotychczasowych ustaleń, tj. konstytucji WAHO, oraz wybór prezydium organizacji (w tym prezydenta i wiceprezydenta, sekretarza, skarbnika i komitetu wykonawczego). Tym razem w spotkaniu wzięli udział przedstawiciele 21 państw. Polskę reprezentowali: dyrektor Stadniny Koni w Janowie Podlaskim inż. Andrzej Krzyształowicz, naczelnik Departamentu Hodowli Zwierząt w Ministerstwie Rolnictwa inż. Roman Gągorowski oraz piszący te słowa. Po dwóch dniach pracy dojechała także delegacja ZSRR, powiększając tym samym liczbę uczestników do 22 krajów.

W wyniku prowadzonych narad i głosowań na prezydenta organizacji wybrano niezwykle aktywnego amerykańskiego hodowcę Jaya W. Streama (notabene pełniącego tę zaszczytną funkcję przez trzy dekady). Polska, z uwagi na ówczesne uwarunkowania formalne i finansowe, a także wielokrotnie niższe liczebnie w stosunku do USA pogłowie koni arabskich, nie miała szans na obsadzenie tak prominentnej funkcji. Wyjeżdżając na konferencję, wierzyliśmy jednak, że wygranie dla Polski stanowiska pierwszego wiceprezydenta

Konferencja
w Sewilli, polska
delegacja w trakcie
pracy.

W pierwszym
rzędzie od lewej
Roman Gągorowski
(niestety tylko
jego ramię),
następnie autor,
obok dyr. Andrzej
Krzyształowicz, dalej
na prawo delegacja
Południowej Afryki
fot. nieznanymi



jest możliwe. Kandydat mógł być tylko jeden – dyrektor Andrzej Krzyształowicz, bardzo szanowany i ceniony, a co najważniejsze – znany na Zachodzie hodowca.

Smaczny układ

Żeby osiągnąć nasz cel i zdobyć wymagane poparcie dla dyr. Krzyształowicza, musieliśmy przekonać do tej kandydatury innych. Nie było to łatwe w obliczu ewidentnego bloku anglosaskiej wzajemnej adoracji (Amerykanie, Anglicy, Australijczycy). Spóźniony przyjazd delegacji ZSRR potraktowaliśmy więc jako zrządzenie opatrności. Okazało się jednak, że na wsparcie trzeba było zapracować...

Delegacja rosyjska z dyrektorem stadniny koni w Tiersku P. Strachowem na czele przyjechała bowiem bez znajomości języka angielskiego (ani jakiegokolwiek innego poza rosyjskim) i bez tłumacza. Przywiozła za to morze wódki i chyba wiadro kawioru astrachańskiego. (Kto wie, gdzie znajduje się stadnina tierska, ten przyzna, że nie było daleko do źródła). Udział w konferencji rozpoczęła więc od zorganizowania dla naszej trzysobowej

delegacji czegoś w rodzaju wieczorku zapoznawczego. Wtedy właśnie pierwszy raz w życiu (i chyba niestety ostatni) jadłem czarny kawior – na zmianę z czerwonym – łyżką stołową. Po tak atrakcyjnym wstępie przedstawiono mi propozycję w zasadzie nie do odrzucenia, a mianowicie – bym pełnił funkcję tłumacza również dla ich delegacji. W tamtych realiach odmowa równałaby się szybkiemu zakończeniu mojej kariery. Dodatkowym argumentem były wyborne warunki pracy (patrz wyżej). Cóż było robić... Zaakceptowałem prośbę, nie zdając sobie do końca sprawy, w co się pakuję. Przez kolejne dni męczyłem się, tłumacząc po kilkanaście godzin dziennie z angielskiego na polski, a następnie z polskiego na rosyjski. Skutek był taki, że pod koniec pobytu w Sewilli zdarzało mi się do Streama mówić po rosyjsku, a do Strachowa po angielsku, u obu wzbudzając niezwykle zainteresowanie. Nie ma się w końcu czemu dziwić. Świeżości umysłu nie dodawały następujące po intensywnych dniach pracy gorące wieczory suto zakrapiane Stoliczną.

Nocne nieporozumienie

Podczas jednego z licznych przyjęć u Rosjan, które owej upalnej nocy trwało szczególnie długo, gospodarze najpierw dla ochłody otworzyli hotelowe okno, a potem, z naszym współudziałem, zaintonowali na całej gardło *Kalinkę*. Wtedy z pokoju hotelowego po przeciwnej stronie budynku wychynął zaspary półnagi Hiszpan, prosząc o spokój, bo było sporo po północy. Nieszczęśnik zakończył swój wywód grzecznym hiszpańskim *por favor* i energicznie zamknął okno. Z niewiadomych dla mnie po dziś dzień względów słowa te wzbudziły w dyrektorze Strachowie ogromne wzburzenie. Zirytował się tak bardzo, że zaczął nagle zdejmować koszulkę gimnastyczną (w której występował cały wieczór), by założyć koszulę i najpewniej lecieć „prac” Hiszpana. Na szczęście udało nam się go powstrzymać. Po moim wyjaśnieniu, że *por favor* to po prostu proszę, Stra-

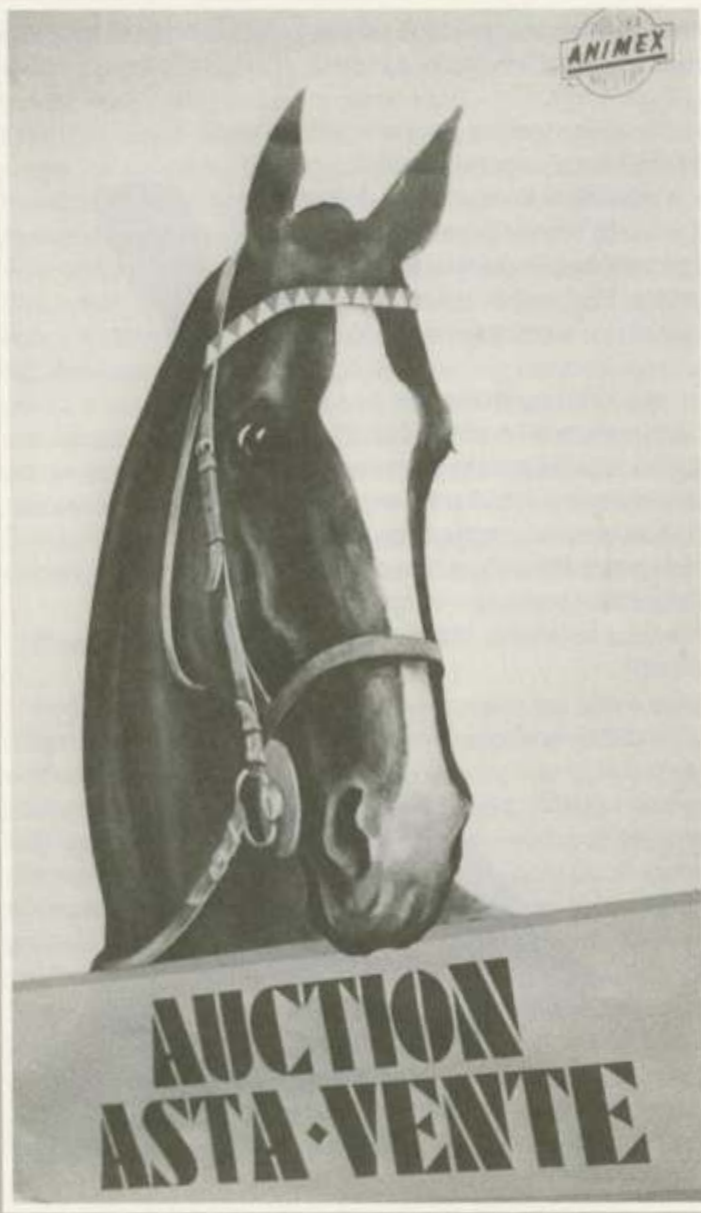
chow ostatecznie odstąpił od zamiaru i już po krótkiej chwili zaproponował kolejne *na zdrowie*.

Wracając jednak do samej konferencji WAHO, nasz plan się powiódł. Zgodnie z założeniami kandydatura dyrektora Andrzeja Krzyształowicza przeszła i przedstawiciel polskiej hodowli koni czystej krwi arabskiej został wybrany pierwszym wiceprezydentem WAHO...

Ja z kolei po powrocie do kraju otrzymałem od szefa uścisk dłoni, a kilka tygodni później pisemne podziękowanie od rządu radzieckiego (ściślej mówiąc, tamtejszego Ministerstwa Rolnictwa). Do pisma dołączono upominek – oryginalną rosyjską bałajkę, którą mam do dziś.

Wspomniana
wyżej pamiątka
polsko-rosyjskiej
współpracy
podczas
konferencji
w Sewilli





ANIMEX

Mimo że promocja polskich koni była skoncentrowana na południu i zachodzie Europy oraz Ameryce Północnej, co wynikało z prestiżu koni czystej krwi arabskiej oraz rosnącego zainteresowania nimi w tych częściach świata, to północ kontynentu i konie półkrwi także były przedmiotem naszej troski. Kolejny rozdział niech będzie tego dowodem...

Prezentowany obok plakat reklamujący aukcje koni półkrwi w Polsce powstał na początku lat 70. XX wieku i był jednym z pierwszych. Zdjęcie (niestety czarno-białe, podczas gdy plakat był kolorowy) zostało wykonane w 1974 roku w Biurze Rady Handlowego Ambasady PRL w Helsinkach fot. J. Milczarek

**AUCTION
ASTA-VENTE**

Bez precedensu...

31 **kadryl w Laponii**



Zima 1976 roku w Helsinkach była wyjątkowo mroźna i śnieżna. Dzień, bardzo krótki o tej porze roku, nie pozwalał nacieszyć się słońcem. Jednak ciepły budynek w willowej dzielnicy Helsinek – Kulosaari, siedziba (do dziś zresztą) Biura Radcy Handlowego ambasady polskiej, zapewniał komfortowe warunki pracy...

Na przełomie stycznia i lutego otrzymałem potwierdzenie zapowiadanego od dłuższego czasu przylotu delegacji hodowców koni z Polski. Mogłem więc, we współpracy z miejscowym agentem Animexu – przesympatycznym, nieżyjącym już niestety, Ollim Saarinenem – rozpocząć ustalanie programu wizyty delegatów.

Do priorytetów należało przygotowanie wizytacji i rozmów handlowych z klubami i hodowcami z najbogatszych rejonów Finlandii, tj. Helsinek, Lahti czy Turku. I gdy w zasadzie wszystko zostało już dopięte na ostatni guzik, w naszym biurze pojawił się Olli, twierdząc, że przygotowany plan musi ulec poważnej korekcie. Trzeba go rozszerzyć o wyjazd do Kemi. Zaoponowałem, ponieważ z moich informacji wynikało, że jest tam jedynie jeden, mały i nieliczący się w sporcie klub jeździecki. Ponadto to 50-tysięczne lapońskie miasto, oddalone od Helsinek o około 800 km, zimą nie było osiągalne inaczej jak samolotem. Delegacja z Polski dysponowała zaś jedynie biletami do Helsinek i z powrotem. Determinacja Olliego, który zgodził się pokryć koszty przelotu czterech osób, kompletnie mnie zaskoczyła.

Okazało się, że klub jeździecki w Kemi za pośrednictwem eksperta, pułkownika Rojha (niezwykle barwna postać, uczestnik wielu polskich aukcji koni półkrwi w latach 70. ubiegłego wieku, bohater wojny fińsko-bolszewickiej) nabył kilkanaście koni z Polski. Kierownictwo klubu było z nich ogromnie zadowolone i wprost nie wyobrażało sobie, by delegacja z Polski

ich nie odwiedziła. Potwierdzać miały to idące pełną parą przygotowania do przyjęcia delegacji.

Przyjęcie w kawalerskim stylu

Brak pozytywnej odpowiedzi na takie zaproszenie mógłby zostać źle odebrany. W konsekwencji, kilka dni po przylocie do Helsinek, polska delegacja znalazła się w samolocie lecącym do Kemi. Z lotniska odebrał nas prezes klubu, młody Fin około trzydziestki, jak się później okazało lekarz z zawodu. Z uwagi na wczesną godzinę zaprosił nas do domu, gdzie mieliśmy pozostać do czasu przyjazdu jeźdźców, zajętych w ciągu dnia nauką lub pracą...

Dom na peryferiach miasta, pięknie usytuowany nad brzegiem jeziora, wykonany z drewnianych bali i okryty czapami śniegu wyglądał doprawdy imponująco. Szczególne wrażenie robiło ogromne (prawie na całą ścianę) okno w salonie – tak zwana witryna – oraz zawieszone na ścianach skóry i poroża

Delegacja
w trakcie „pracy”
- w środku autor,
jak na dyplomata
przystało
w krawacie,
obok długowłosego
gospodarza oraz
Olli Saarinen
w okularach
fot. nieznaną



reniferów. Gospodarz nalegał, aby zwracać się do niego po imieniu – Juha – i przepraszał, że jako zapracowany singiel nie mógł ugościć nas ciepłym posiłkiem. Twierdził, że praca w szpitalu oraz klub angażowały go tak bardzo, że nie miał czasu na znalezienie żony, a w tym pięknym domu bywał jedynie gościem. Na kawalerski poczęstunek złożyły się: poledwica i szynka z renifera, makkara – czyli po naszymu kiełbasa oraz, a właściwie przede wszystkim, wódka Finlandia i znakomite lapońskie piwo Lapin Kulta. Wszystko w ilościach niemal bez ograniczeń. Tak mieliśmy przetrwać najbliższe kilka godzin w oczekiwaniu na specjalny pokaz, na który nas zaproszono. Nie ukrywam, że był to bardzo trudny egzamin dla naszej delegacji... Mróz i czyste powietrze sprawiły jednak, że wszyscy trzymali się do końca bez zarzutu.

Wreszcie Juha spojrzął na zegarek, odpalił swojego land rovera i zawiózł nas do klubu. Drewniana stajnia na około 15 koni, w większości z Polski, sprawdzała się w tamtym klimacie znakomicie. Było ciepło i przytulnie mimo 28-stopniowego mrozu na zewnątrz. Klub nie miał krytej ujeżdżalni. Wydawało się więc, że mróz i zmrok wykluczały cokolwiek innego aniżeli obejrzenie koni w boksach. Nic bardziej mylnego. Zaprowadzono nas na pobliski obszerny plac. Ktoś ustawił przed nami spory odtwarzacz kasetowy na baterie i się zaczęło...

Grupa jeźdźców, głównie dziewcząt, dosiadających 12 maści-
stych, polskich koni rozpoczęła kadryla. Na mrozie, bez oświe-
tlenia, przy dźwiękach styszalnych na odległość nie więcej niż
5 – 10 metrów zastęp koni to nikt, to znów zjawiał się. Występ
(może za sprawą wcześniej spożytej Finlandii) przerodził się
w taniec ludzi i koni... Taniec, w którym pary wirowały i zamie-
niały się miejscami, tworząc coraz to nowe układy. Po pewnym
czasie widać już było same konie – piękne, białe, eteryczne...
Staliśmy jak oczarowani, przyglądając się temu niezwykłemu

przedstawieniu wystawianemu w podbiegunowej scenerii specjalnie dla nas. Gdy pokaz dobiegł końca, z nieukrywanym wzruszeniem nagrodziliśmy wykonawców brawami.

Dopiero po pewnym czasie dotarło do nas, dlaczego kadryl zrobił na nas tak ogromne wrażenie. To para z nozdrzy zamieniała się w tak niskiej temperaturze w szron, a pokrywając głowę, kłode i nogi koni, zmieniała maść na siwą. W otaczającym zewsząd mroku ciemne sylwetki jeźdźców były niemal niezauważalne. Zrozumieliśmy też, ile wysiłku musiało kosztować przygotowanie takiego pokazu bez odpowiedniego nagłośnienia i jak niewyobrażalnym zawodem byłaby dla organizatorów nasza odmowa przyjazdu do Kemi.

Nieuchronne konsekwencje delegacji

Późnym wieczorem wróciliśmy do Helsinek. Następnego dnia niektórzy członkowie delegacji odczuli skutki fińskiej gościnności... W pewnym momencie trzeba było nawet przerwać akwizycję w podhelsińskich klubach jeździeckich, by rozeznaczyć rodzaj choroby, która dopadła jednego z uczestników wyjazdu do Kemi. Nie obeszło się bez wizyty w szpitalu. Delikwent, którego nazwiska z wiadomych względów nie przytoczę, uskarżał się na rozliczne dolegliwości. Po godzinnej wizycie w szpitalu wyszedł bardzo zmartwiony. Zwrócił się do mnie mniej więcej w ten sposób:

— *Jurek, ja chyba jestem umierający. Przetłumacz, proszę, co oni u mnie rozpoznali?*

Popatrzyłem na kartkę, gdzie było napisane: k r a p u l a ! Nie było to więc nic innego niż najzwyczajniejszy kac. Kazio natychmiast odzyskał siły i charakterystyczny dla niego wesoły nastrój.

Widziałem w życiu różne pokazy z udziałem koni. Jednak ten kadryl zapadł w pamięci szczególnie mocno. Zapewne głównie z uwagi na surową lapońską scenerię oraz fakt, iż był to wówczas najbardziej na północ wysunięty zakątek ziemi, dokąd dotarły konie polskiej hodowli.

O tym, jak wdzięcznym odbiorcą polskich koni i polskiego jeździectwa była Finlandia, świadczy choćby fakt, że kraj ten trzykrotnie i zawsze entuzjastycznie gościł u siebie bogusławicki horse-show *Krakowskie Wesele*.

Bez precedensu...

4 | **tłuczkiem do mięsa**

Podczas jubileuszowej 25. aukcji koni arabskich w Janowie Podlaskim, w sierpniu 1994 roku, redaktor Stefan Jung przeprowadził ze mną wywiad. Opowiedziałem w nim, jak i dlaczego w 1969 roku w Janowie Podlaskim zorganizowano pierwszą aukcję koni arabskich.

Opublikowany w „Kurierze Polskim” z 2 września 1994 roku tekst wymaga jednak dwu drobnych korekt (które wprowadzam za zgodą red. Junga).

Chochlik drukarski wyciął z artykułu słowo: „tysięcy” we fragmencie dotyczącym cen uzyskanych podczas pierwszej aukcji. Faktycznie zdanie to brzmiało następująco: „A ceny? ...różne – od kilku do kilkunastu tysięcy dolarów”. I kwestia nieco mniej istotna: użyty podczas licytacji tłuczek służył do rozbijania mięsa, nie kartofli. Zależało nam wszak na pozorach profesjonalizmu... Cała reszta bez uwag.

Jednym z honorowych gości 25. aukcji był długoletni pracownik Animexu, kierownik działu koni, a co dla jubileuszu najważniejsze, współorganizator i pierwszy aukcjoner pierwszej janowskiej aukcji w 1969 r. — JERZY MILCZAREK.

Wprawdzie od kilku lat pracuje już w innej firmie handlowej, takiej bardziej tekstylnej, ale ciągle robi też w „końskim biznesie”, z którym, jak twierdził, rozstać się nie chce i nie może.

To właśnie od niego i dzięki niemu miałem dla Czytelników Kuriera zawsze najświeższe, najlepsze i najciekawsze informacje. Czasem na wyjątkowość, często poufne, ale zawsze pierwszy. On wprowadzał mnie „w tajniki handlu” aukcyjnego ringu i zawiloci arabskiej hodowli. Ułatwiał kontakty z hodowcami i kupcami.

Jerzy Milczarek — handlowiec, koniarz, żeglarz i pędziwiatr. Przez wszystkich lubiany kompan, kpiarz, uroczy gawędziarz. I, mam nadzieję, mój serdeczny przyjaciel.

Przez wszystkie te lata naszej służbowej współpracy i prywatnej znajomości bardziej zajmowały nas sprawy bieżące i przyszłe niż zaszłości historii. Ale za to dziś, właśnie z okazji jubileuszu, nadarzyła się znakomita okazja do wspominków z przysłowiowej końskiej serii „kobyłe jaja”, czyli... ja

Rzeczony artykuł redaktora Stefana Junga wydrukowany w „Kurierze Polskim” z 2 września 1994

Tłucze

jako były — organizator i aukcjoner.

— Tylko nie pytaj głupio, czy pamiętam! W Animexie zacząłem pracować ledwie rok wcześniej. Było fajnie, tyle że męczyły nas strasznie umówione i niespodziewane przyjazdy zagranicznych kupców i hodowców. Gdyby jeszcze przyjeżdżali w grupach, po kilku naraz, to można by to było jeszcze wytrzymać. Ale oni, jak na złość, przyjeżdżali pojedynczo i wtedy, kiedy im pasowało. Trzeba było organizować transport... Co się dziwisz? Dziś to może brzmie śmiesznie i nieprawdopodobnie, ale w tamtym czasie załatwienie samochodu to był jakiś problem. No więc załatwialiśmy transport, jechaliśmy do stadniny, improwizowaliśmy pokaz. Konie prosto ze stajni, zapyziałe, ledwie przetarte. Maszterze lazili i nie mieli poję-

cia o prezentacji. Potem trzeba było długo namawiać hodowców, żeby zechcieli coś sprzedać, uzgodnić ceny brane częstokroć z chmu-

klem masztalerze przeganiali i prezentowali konie. Co, nie wierzysz? Pokażę ci takie śmieszne, pamiątkowe zdjęcie z tej aukcji.

było tym, o co nam chodziło. Ale było jak było! Przynieśliśmy sobie, że ta następna, za rok, musi być lepsza.

I była, choć niewiele brakowało, żeby skończyła się zupełną kląpą. Kupcy dopisali, organizacja na medal i wszystko inne też. Ale tym razem umyśliliśmy sobie zaangażować do prowadzenia licytacji prawdziwego fachmana. Polecono nam pana Kmicika, a może Kmieciaka — syna znanego spikera radiowego. Był on wtedy korespondentem antenowym w Berlinie i podobno oglądał organizowane tam aukcje koni. Ale okazało się, że oglądać i sprawozdawać, a prowadzić aukcję to dwie różne umiejętności. Na pewno był lepszy w niemieckim i angielskim, lepszy aktorsko, ale myliło mu się dokładnie wszystko. Po prostu nie miał zielonego pojęcia o „końskim fakultecie”. W połowie aukcji zaplątał się już zupełnie i... musieliśmy go szybko wymienić. Więc znowu padło na mnie. Złapałem mikrofon, młotek i jako szczęśliwie dojechałem do końca. A on, wyobraź sobie, upił się z rozpaczy. My zresztą też, tyle że z radości!

I taki był mój drugi i ostatni występ w roli aukcjonera.

Notował: STEFAN JUNG (Starzec)

k aukcjonera

ry. Bo nikt z nas nie wiedział, ile naprawdę wart jest ten koń. No i targować się zawzięcie z klientem, który nie miał konkurenta. W końcu sprzedawaliśmy, albo i nie.

Kupcy przyjeżdżali coraz częściej, a my miotaliśmy się okropnie. Dłużej tak być nie mogło. Uradziliśmy więc, że trzeba to jakoś sensownie zorganizować. I tak narodził się projekt, a potem ta pierwsza, w 1969 roku, aukcja koni arabskich w Janowie Podlaskim. Był to oczywiście, absolutny i siemniężny prymityw, bo i możliwości były, jak nie miały, i nikt z nas tak naprawdę nie miał pojęcia, jak to zrobić.

Uradziliśmy się na maneżu, obok głównej stajni. Dla nas drewniany, niczym nie przykryty stół, a na nim jakiś mikrofon i głośnik. Naprzeciw, dla kupców i gości, proste ławy dla elegancji i wygodny przykryte zwykłymi kocami. A środ-

kiem stoimy za tym stołem w paletkach, bo było strasznie zimno, my, ekipa organizacyjna — nieżyjąca już (da Romer, Kazio Polak i ja... z drewnianym tłuczkiem do kartofli w ręku. Tak, z tłuczkiem pożyczonym w ostatniej chwili od żony któregoś z masztalerzy, bo w rozgardiaszu przygotowań o aukcyjnym młotku zupełnie zapomniałem.

Kupców było kilku, może kilkunastu i tłum widzów — pracowników stadniny i ich rodzin, mieszkańców Janowa, Białej, nawet Warszawy. Konie biegały, ja gadałem jak nakrecony i waliłem tłuczkiem. Sold — koń sprzedany. A ceny? Różne — od kilku do kilkunastu dolarów. Wtedy to było dużo!

Kupcy byli zachwyceni, hodowcy zadowoleni, publika miała niezły spektakl. Pełny sukces! My też byliśmy z siebie bardzo dumni, choć wiedzieliśmy, że to coś nie całkiem



Bez precedensu...

51 aukcja w barze



Dział eksportu koni sportowych i hodowlanych Centrali Handlu Zagranicznego Animex miał siedzibę w samym centrum Warszawy. W najnowocześniejszym i najwyższym jak na ówczesne czasy wieżowcu stolicy – Intraco II. Obrotowe szklane drzwi wejściowe, cztery przestronne windy czy wygodny gabinet z częścią wypoczynkową i barkiem były, w realiach PRL-u lat 80., luksusem. A widok roztaczający się z okna na 32. piętrze pozwalał zostawić daleko za sobą szarą codzienność i snuć niewyobrażalne wizje. Jedną z nich miała być pierwsza po odwołaniu stanu wojennego aukcja koni arabskich w Janowie Podlaskim. Zorganizowana na światowym poziomie, przy udziale znawców konia arabskiego z całego świata, ze stawką wybitnych koni polskiej hodowli, z transakcjami idącymi w setki tysięcy dolarów...

Był czerwiec 1983 roku. Siedząc nad drugim śniadaniem, oczami wyobraźni widziałem rozmach imprezy, jej udany przebieg i splendor dla Polski. Jednak gdy mój wzrok padł na kromkę z białym serem, który dzień w dzień gościł na przygotowywanych przez żonę kanapkach, wizja narodowego i osobistego sukcesu prysła jak bańka mydlana. Myśl o przedziałach kartkowych na najzwyklejsze produkty spożywcze i o smutnych realiach pustych sklepowych półek, na których można było zobaczyć jedynie butelki z octem, podcinała skrzydła. Mimo, że władzy zależało na kreowaniu za granicą obrazu Polski „normalnej” i dostatniej, a dewizy pozyskiwane ze sprzedaży polskich koni były na wagę złota, nie szły za tym żadne ułatwienia. CHZ Animex, międzynarodowy eksporter żywych zwierząt i produktów pochodzenia zwierzęcego (w tym mięsa i wędlin), musiał występować do Ministerstwa Handlu Wewnętrznego o pomoc w zaopatrzeniu w podstawowe artykuły gastronomiczne. W takich warunkach wyżywienie około 300 zaproszonych na aukcję zagranicznych klientów nie dawało mi spokoju. Wiedziałem, że dobre samopoczucie (w tym

pełny żołądek) ma niebagatelny wpływ na efekty sprzedaży i w konsekwencji na sukces przedsięwzięcia.

Dryń... dryń... Z rozmyślań wyrwał mnie dzwonek telefonu.

– *Pan Milczarek? Jest zgoda...* – słychać było w słuchawce głos pracownika Ministerstwa Handlu Wewnętrznego.

Kamień spadł mi z serca. Przepełniony radością, nie dostyszałem już dalszej wyliczanki kilogramów szynki, baleronu i kiełbasy, które miały trafić do restauracji organizującej catering.

Po kilku tygodniach, już na miejscu, okazało się, że specjalna dostawa żywności, choć zawierała mniej więcej to, co było niezbędne, to w ilościach mocno okrojonych. Ustaliliśmy więc, że bufet zostanie udostępniony, oczywiście odpłatnie, w ostatnim, trzecim dniu aukcji, tuż przed licytacją.

Kłęska urodzaju

Na aukcję przyjechała spodziewana liczba klientów. Niezależnie, jak zwykle zresztą, dopisali fani krajowi. Tak że łącznie znalazło się wtedy w Janowie kilka tysięcy ludzi.

Podczas pierwszych dwu dni imprezy odbywały się pokazy koni na płycie i w ręku. W trzecim dniu (aukcyjnym) od rana były tzw. otwarte stajnie, umożliwiające indywidualne oglądanie wystawionych na sprzedaż koni. Goście z zagranicy korzystali z tego skwapliwie. Ustaliliśmy z Markiem Grzybowskiem, który miał prowadzić licytację, że na godzinę przed jej rozpoczęciem umożliwimy klientom skorzystanie z przygotowanego na tę okoliczność bufetu. Wiadomość została podana przez megafon, w kilku językach. Zaledwie w kilka minut po anonsie w namiocie aukcyjnym, w części wydzielonej na konsumpcję, kłębiła

się już niezliczona rzesza głodnych Polaków, z determinacją prących na bufet... Nieświadomi miejscowych realiów goście zagraniczni, którzy bez pośpiechu ruszyli w kierunku baru, stawali zaskoczeni i bezradni, w zbitej gromadce. Wydawało się, że nie mieli szans na choćby najskromniejszy posiłek przed kilkugodziną licytacją.

Widząc nieprzewidziany przez nas obrót zdarzeń i będąc świadomy znaczenia wyniku aukcji dla mnie, kierowanego przeze mnie zespołu ludzi oraz stadnin, postanowiłem działać. Działać... bardzo zdecydowanie. Wtargnąłem w sam środek kłębiącego się tłumu mitosińników suchej krakowskiej. Chwilę potem stałem na krześle przy ladzie barowej z mikrofonem w rękę, ustalając reguły korzystania z bufetu:

– Trzech gości zagranicznych, następnie jeden z Polaków z kolejki. I tak do końca wyczerpania się chętnych z zagranicy. Potem wszystko dla naszych. Też według kolejki – grzmiałem niczym z ambony.



Katalog aukcji janowskiej z 1985 r., projekt: Zbigniew Malicki. Katalogi aukcyjne stanowiły ważny element sprzedaży. Do ich tworzenia zapraszałyśmy najlepszych fotografów koni i artystów z kraju i zagranicy. Swoje prace publikowali tam m. in. Marek Gadzański, Zofia Raczkowska, Norbert Zalis (1983) czy Bogusław Lustyk

W uzasadnieniu napomknąłem coś o polskiej gościnności i na wszelki wypadek zagroziłem, że przy braku respektowania zasad bar zostanie zamknięty dla wszystkich. O dziwo poskutkowało.

Stanąłem z boku, by dopilnować ścisłego wypełniania ustaleń. I gdy z zadowoleniem patrzyłem na kolejne osoby z zagranicy odchodzące obsłużone od lady, podszedł do mnie jegomość około 45-letni w czarnej skórzanej marynarce. Jego złe spojrzenie i zaciśnięte pięści zdradzały silną irytację.

– *Panie, k... wasza m..., to my mamy inne żołądki?!* – wycedził przez zęby.

Nikogo nie było w pobliżu, więc nie przebieając w słowach wypaliłem:

– *Racja. Nie mamy, ale sp... pan.*

Mężczyzna spurpurowiał na twarzy i mamrocząc coś pod nosem, odwrócił się na pięcie i odszedł.

W międzyczasie aukcja zdążyła ruszyć. Byłem na bieżąco, ponieważ nagłośnienie działało niezawodnie i szczęśliwie obejmowało także bufet. Po sprzedaniu ostatniego kawałka wędliny znalazłem się wreszcie w hallu aukcyjnym, by wziąć udział w oficjalnym zamknięciu imprezy.

Aukcja okazała się wielkim sukcesem. Przyniosta rekordowy wręcz utarg 3,2 miliona dolarów. Radość była ogromna. Zostaliśmy zaproszeni przez dyrektora Andrzeja Krzyształowicza do biura stadniny, gdzie czekał na nas drobny poczęstunek i lampka koniaku. Na koniec, wykonałem jeszcze telefon do naczelnego, żeby zdać relację z imprezy i późnym wieczorem ruszyłem w drogę powrotną do Warszawy.

Na dywaniku u szefa

Następnego dnia około godziny 10.00 zjawiłem się w biurze, nie kryjąc zadowolenia z dobrze wykonanej pracy. Nie zdążyłem jeszcze usiąść przy biurku, gdy sekretarka naczelnego, słynna pani Krysia, wpadła do gabinetu. Przejęta powiedziała, że szef miał od rana jakieś ważne „interwencje” i pilnie wzywa mnie do siebie. Byłem przekonany, że otrzymam pochwałę, a może nawet i znaczącą podwyżkę lub przynajmniej premię. W progu jednak zamiast słów uznania usłyszałem:

– *Jurek! Coś ty tak w tym Janowie narozrabiał?*

Zmroziło mnie kompletnie. Zapytałem, o co chodzi. Szef wyjaśnił, że od rana miał kilka telefonów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w związku z „niedopuszczalnym incydem”, który jakoby miał miejsce w Janowie Podlaskim. Otóż miano tam obrazić pewnego majora SB pełniącego obowiązki służbowe. Natychmiast stanął mi przed oczami jegomość w czarnej marynarce. Zacząłem więc tłumaczyć, jak było. Zamiast premii dostałem pouczenie i przestrożę, abym w przyszłości bardziej uważał na to, z kim mam do czynienia.

Nie była to moja pierwsza tego rodzaju „wpadka”. Byliśmy przecież pod stałym nadzorem PRL-owskich służb. Niezwykłe i bez precedensu było jednak to, że będąc szefem tej dużej, międzynarodowej aukcji, jej kluczowy moment spędziłem w barze. Nie pijąc, nie jedząc... lecz pilnując kolejki za baleronom. Po tym doświadczeniu nie mogłem się oprzeć myśli, że mając tak znakomity zespół współpracowników, właściwie mógłbym w ogóle nie wychodzić z baru, a i tak wszystko by szło jak po maśle.

Bez precedensu...

61 w Scottsdale, Arizona



Lot dobiega końca. Na polecenie z głośników zapinam pasy. Samolot podchodzi do lądowania. Jeszcze tylko niewielkie wstrząsy kotującego olbrzyma, dotkliwy ból w uszach spowodowany różnicą ciśnień i koniec ośmiogodzinnej podróży. Przed oczami przemyka mi ogromny napis La Guardia.

Jestem w Nowym Jorku. Samolot jeszcze chwilę kotuje, by zatrzymać się w końcu przy rękawie. Moja mała skórzana walizka pojawia się dość szybko na karuzeli w hali odbioru bagażu. Odprawa paszportowa również przebiega błyskawicznie i już po kilkunastu minutach wraz z grupą innych pasażerów docieram do hali głównej. Wita nas tłum oczekujących. Choć nie jest to mój pierwszy lot do Stanów, widok pogodnych twarzy Amerykanów, ich wzorzystych, jaskrawo kolorowych koszul i marynarek robi na mnie wrażenie. W swoim nieco pomiętym garniturze, białej koszuli związanej wąskim krawatem czuję się w tym otoczeniu naprawdę jak ktoś „zza kurtyny”. Szybko dostrzegają mnie Marek Grzybowski (Animex) i Wiktor Stanisławski – pracownik polsko-amerykańskiej spółki Polfoods, z siedzibą w Nowym Jorku, którzy przyjechali odebrać mnie z lotniska. Po krótkim przywitaniu opuszczamy terminal. Chwilę później wsiadamy już do służbowego buicka. Długa limuzyna z metalowo-drewnianym wykończeniem powoli rusza. Dopiero teraz czuję świdrujący ból głowy. To dają się we znaki długi lot, różnica czasu, ekscytacja i niepewność co do powodzenia mojej misji...

I tu miejsce na krótkie wprowadzenie. Znakomita koniunktura na araby polskiej hodowli trwała nieprzerwanie od początku lat 80. Prezentowane w Janowie konie osiągały rekordowe ceny. Ogier El Paso został kupiony w 1981 roku przez dr. Armanda Hammera za milion dolarów. Wysokie kwoty osiągnięto także w kolejnych latach za Bandosa i Bandata oraz klacz Wenere.

Na fali powodzenia

Duże zainteresowanie polskimi arabami i ich ceny rozbu-
dzały entuzjazm i nadzieje. W środowisku zaczynała nieśmiało
kiełkować myśl, by pojechać z polskimi arabami na aukcję
zorganizowaną w USA. Po tylu latach trudno powiedzieć,
kto pierwszy sformułował ten pomysł. Projekt szybko zy-
skał poparcie, a to za sprawą kilku ważnych powodów. Po
pierwsze, w tych latach gros koni arabskich trafiało na rynek
amerykański, a aukcja zorganizowana bliżej klienta pozwalała
dotrzeć do hodowców, których dotychczas nigdy jeszcze
w Polsce nie było. Po wtóre, spodziewane zmiany w polityce
podatkowej USA groziły pogorszeniem koniunktury i skłaniały
do maksymalnego zintensyfikowania sprzedaży w czasie, gdy
popyt utrzymywał się jeszcze na wysokim poziomie. Po trzecie
w końcu, warunki techniczne, reklama, oprawa i rozmach aukcji
amerykańskich były nieporównywalne z jednak „amatorskim”
poziomem tychże organizowanych w Polsce.

Mimo że za pomysłem wyjazdu z polskimi końmi za granicę
przemawiała silna argumentacja, to gdy doszło do konkretów,
przeważały wahania i postawy asekuracyjne. Sprawa ruszyła
z kopyta dopiero po tym, jak za zgodą Zdzisława Brylskiego
(najpierw dyrektora Biura Eksportu Zwierząt, potem naczelnego
CHZ Animex, doskonale czującego temat) Animex za-
gwarantował właścicielom koni zwrot poniesionych kosztów
w przypadku niepowodzenia przedsięwzięcia. Ze wszystkich
zainteresowanych (stadnin, stad, Ministerstwa Rolnictwa
i agend mu podległych) jedynie Animex dysponował bowiem
specjalnym funduszem ryzyka umożliwiającym tego typu za-
bezpieczenie.

Kolejny krok polegał na nakłonieniu dyrektorów stadnin do
wytypowania na aukcję naprawdę dobrej stawki koni. Tu nieocze-

nieni okazali się, wspomniany wyżej, Marek Grzybowski i Izabela Zawadzka ze Zrzeszenia Hodowców Zwierząt Zarodowych, ekspert ds. hodowli koni arabskich oraz sędzia międzynarodowy.

Gdy wszystko z naszej strony wydawało się prawie dopięte, pozostało jeszcze uzyskać pozytywną opinię Biura Rady Handlowego w Nowym Jorku oraz dyrekcji spółki Polfoods z siedzibą tamże. Pierwszy w tym celu do Nowego Jorku poleciał Marek Grzybowski, jednak po dwóch tygodniach zadzwonił do mnie z informacją, że takiej zgody Polfoods raczej nie wyda. Argumentowano to przekonaniem, że przedsięwzięcie jest ryzykowne, a właściwie nie ma uzasadnienia ekonomicznego, ponieważ ich zdaniem, podzielanym również przez Biuro Rady Handlowego naszej ambasady, można sprzedać te konie na aukcji w Janowie. Sprawy w kraju zaszyły już jednak bardzo daleko. Mieliśmy wytypowanych 19 klaczy bardzo dobrej jakości. Mieliśmy wstępną zgodę Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Nie wypadało odpuścić w takim momencie.

Dlatego właśnie siedziałem na tylnej kanapie buicka, jadąc ulicami rozświetlonego, jesiennego Nowego Jorku. Gdy dojechaliliśmy do hotelu, był wieczór. Mimo zmęczenia do późna studiowałem dokumentację powstałą z inicjatywy oponentów aukcji. Rano, po solidnej kawie, wraz z Markiem i Wiktorem udaliśmy się do siedziby spółki, gdzie uzyskaliśmy zapewnienie, że w przypadku zgody ze strony Biura Rady Handlowego oni również wydadzą pozytywną opinię. W BRH po kilkugodzinnej wymianie zdań i walce na argumenty ustalono, że w przypadku niepowodzenia aukcji całe odium miało spaść na Animex, bo BRH przecież uprzędało.

– Jeśli tak bardzo chcecie, to róbcie, ale bez nas – usłyszeliśmy.

Czas pokazał, że było jednak inaczej...

Ostatnia prosta

Pozostały już tylko rozmowy z partnerem amerykańskim. Po wielokrotnych twardej negocjacji podpisaliśmy ostatecznie umowę z niezwykle trudnym kontrahentem, jakim okazał się Alec Courtelis, oraz znacznie bardziej stonowaną w żądaniach Lasma Arabians, reprezentowaną przez dra Eugene'a La Croix.

Mieliśmy w końcu wszystko dograne – termin: luty 1985 roku, lokalizacja: Scottsdale w stanie Arizona. Pozostało jeszcze stosownie nazwać tę wyjątkową i jak się okazało jedyną taką aukcję w naszej historii. Wygrała propozycja Polish Ovation. Z około dwumiesięcznym wyprzedzeniem wystaliśmy do Stanów samolotem 18 klaczy. Na czas aukcji z Polski ruszyła także delegacja w składzie: naczelny Animexu Zdzisław Brylski, dyrektor stadniny w Michałowie Ignacy Jaworowski, dyrektor stadniny w Kurozwiękach Władysław Guziuk, Izabela Zawadzka i ja. Dyrektor Janowskiej stadniny Andrzej Krzyształowicz odmówił wylotu, powołując się na wiek i trudy podróży. Marek Grzybowski tuż przed wyjazdem nagle zachorował.

Polska delegacja w Scottsdale.
Na twarzach maluje się jeszcze niepewność, jak to wszystko pójdzie? W kolejności od lewej:
Jerzy Białobok, wówczas zootechnik SK Michałów będący na praktyce w Stanach, dalej Wiktor Stanisławski reprezentujący firmę Polfoods New York, następnie autor i Zenon Lipowicz – znakomity jeździec crossowy a potem trener mieszkający na stałe w Scottsdale, obok Izabela Zawadzka – ekspert d/s hodowli koni arabskich w Ministerstwie Rolnictwa i sędzia międzynarodowy, przed nią, oparty o stół, dyrektor SK Michałów – Ignacy Jaworowski. Nazwiska ostatniej osoby (na pierwszym planie) niestety już nie pamiętam
fot. nieznaną



I tak to się zaczęło...

Elegancka hala przypominająca teatr. Na podwyższeniu obszerna scena, przygotowana jak na premierze w Carnegie Hall w Nowym Jorku, poniżej orkiestra. Wejściu każdego konia towarzyszy feeria wielobarwnych świateł i muzyka. W powietrzu unosi się rozpylana sztuczna mgła. Konie w tym otoczeniu zachowują się jak aktorzy. Głośne dźwięki i snopy świateł nie robią na nich wrażenia. Ruszają się wspaniale, wzbudzając zachwyt. Widownia wypełniona do ostatniego miejsca. Wśród uczestników aukcji uwijają się kelnerzy, serwując napoje i przekąski. Pośród zgromadzonych gości takie osobistości, jak światowej sławy reżyser Mike Nichols czy aktor i król muzyki country Kenny Rogers. Kiedy na scenę wbiega siwa Penicylina z Janowa Podlaskiego, uczestników ogarnia niemal euforia.

Rozdęte nozdrza, uwodzicielski błysk oczu, wygięta w podnieceniu szyja i odsadzony w górę ogon wzniesają niezwykle aplauz.

Licytacja przebiega bardzo szybko, a przebicia są niezwykle wysokie. Za chwilę pada rekord wszech czasów. Klacz kupuje David Murdock za 1,5 mln dolarów. Tego nikt z nas się nie spodziewał!



Okładka katalogu aukcji Polish Ovation

W niemal kilka chwil później michałowska kasztanka Diana, kupiona przez Jima Paliafito, osiąga niewiele mniej, bo 1,2 mln dolarów.

Wydaje się niemal pewne, że aukcja skończy się olbrzymim sukcesem. Jednak kiedy na ringu zaczynają pojawiać się ostatnie, słabsze konie, licytacja zaczyna powoli tracić płynność. Grozi nam powrót z którymś z niesprzedanych koni, a jednej z kurozwęckich klaczy zagraża to ewidentnie. Nikt nie wykazuje chęci rozpoczęcia licytacji. Mocno zaniepokojeni prosimy Barbarę Krzyształowicz-Soerenssen, córkę dyrektora Janowa, która przyleciała do Scottsdale ze Szwecji w roli obserwatora, by rozpoczęła licytację oferując jakąś sumę. Basia (chwała Jej za to) nieśmiało podnosi rękę z numerem licytacyjnym i... licytacja rusza, by po pewnym czasie znów stanąć. Basia ponownie przebija, ratując sprzedaż. Kiedy cena za konia przekracza w licytacji sumę 200 tysięcy dolarów, przestrzegamy, że złożenie wyższej oferty będzie już bardzo ryzykowne. Ale rozemocjonowana grą Basia podnosi plaketkę po raz trzeci, no i... stało się. Po chwili słyszymy sakramentalne: *for the first..., for the second..., and for the last time – sold to Sweden*. Przez chwilę współczujemy Basi, ponieważ nie jest to europejska cena za konia arabskiego, a po powrocie do Szwecji mogą Ją czekać „krzywe kluski” ze strony męża.

Ale za chwilę wynik aukcji wprawia nas w autentyczną i zrozumiałą euforię. Łączna wartość sprzedanych koni przekroczyła 10,2 miliona dolarów. Średnia – 565 tysięcy dolarów za konia. Partner amerykański bardzo zadowolony. Jest ogromne zainteresowanie mediów. Wtedy pojawia się radca handlowy ambasady (notabene były minister handlu zagranicznego) i natychmiast wciela się w rolę najbardziej zasłużonego. Na wspomnienie „entuzjazmu”, z jakim spotkałem się w Nowym Jorku, zabiegając o zgodę, na twarzy maluje mi się uśmiech.

Jednak nie czas ani miejsce na wypominki. Serce wypełnia ogromna radość.

Jest co świętować

Po zakończeniu aukcji czekało nas jeszcze dużo pracy „medialnej”. Nigdy nie zapomnę najkrótszego wywiadu, jakiego udzieliłem jednej z amerykańskich stacji TV. Reporterka prosiła mnie o wyjaśnienie widzom, czym różnią się zlicytowane podczas aukcji konie od innych koni arabskich. Na czym tak na naprawdę polega ich wyjątkowość? Nie zastanawiając się długo, wypaliłem: *Simply, because they are Polish* (Po prostu – bo to polskie araby). Do dziś pamiętam, jak zaniemówiła, szybko kończąc wywiad.

Wracaliśmy do kraju w znakomitych nastrojach. Gdy zapytałem dyrektora Władystawa Guziuka:

– *Władku, powiedz, co najpilniej załatwisz w stadninie, jak wpłyną na wasze konto tak olbrzymie pieniądze?*

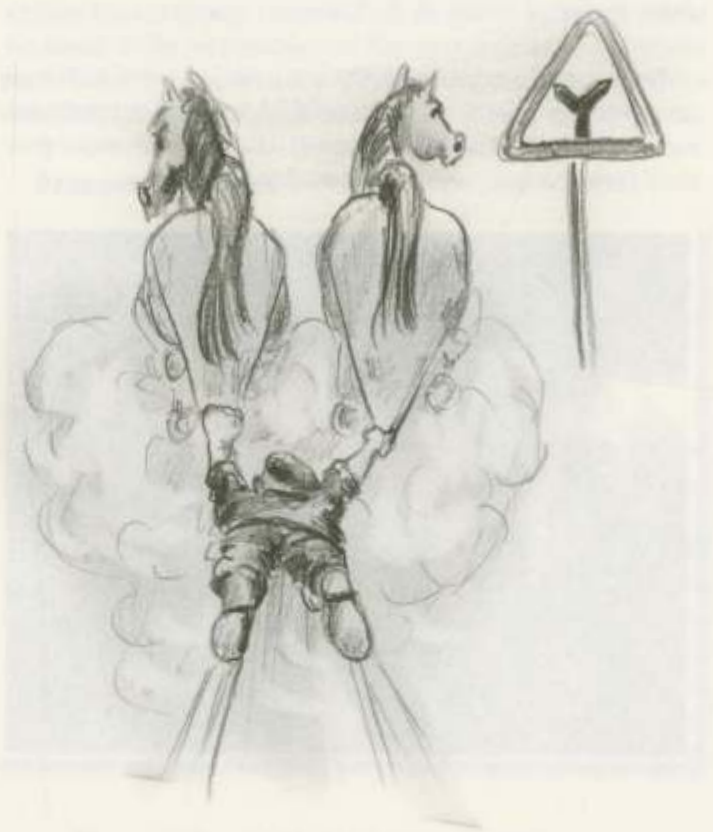
Odpowiedział rozbrajająco szczerze (albo niezwykle dowcipnie – nie wiem tego do dziś):

– *Zestaw walkie-talkie, bo mam ciągle nierozwiązany problem komunikacji ze stróżem na bramie wjazdowej.*

A tak na poważnie to nie ulega wątpliwości, że aukcja Polish Ovation okazała się przysłowiowym strzałem w dziesiątkę. Myślę, że uwzględniwszy zjawisko inflacji, ustanowiony w 1985 roku rekord – zarówno najwyższej ceny za konia, jak i łącznej wartości stawki koni aukcyjnych – nadal jest niepobity i w tym sensie aukcja w Stanach pozostaje wydarzeniem bez precedensu.

Bez precedensu...

71 polskie araby w blasku światowych sław



Czas zrobić porządek ze zdjęciami... – ta myśl chodzi mi po głowie już od jakiegoś czasu. Wymuję więc z szafki pudło wypełnione po brzegi fotografiami. Siadam w fotelu i powoli przekładam zdjęcie za zdjęciem. Budzą się wspomnienia...

Uśmiecham się na widok małej Kasi wyprowadzającej na trawkę niewielkiego siwka po jednej z jej pierwszych jazd w życiu. Można już dostrzec ten radosny błysk w oku – początek fascynacji, która zaprowadziła ją tak daleko... A tu siedzi przy jednym ze swych rysunków. Na kartce głowa konia. *Ileż powstało takich prac...* – przypominam sobie – *Jakże my byliśmy z nich dumni...*

Trochę dalej seria zdjęć z Kuwejtu. Na jednym z nich stoję obok jednego z tych dzielnych, polskich koni, które przetrwały morderczą podróż na Bliski Wschód. Uwiązany do muru gnidosz czeka na swój występ w paradzie...



Kasia po jednej z pierwszych jazd w życiu
fot. A. Milczarek

Przerzucam kolejne fotografie... Nagle wzrok zatrzymuje się na uśmiechniętej, brodatej twarzy Kenny'ego Rogersa, aktora, kompozytora i gwiazdy muzyki country, cenionego m.in. za takie utwory jak „Lucille” (1977) czy „Lady” (1980).

Udział sław tego pokroju w organizowanych przez Animex aukcjach koni arabskich był bardzo pożądanym. Gwarantował bowiem uwagę mediów, a w konsekwencji reklamę i szersze zainteresowanie przedsięwzięciem wśród hodowców. W latach 70. i 80. XX wieku udało nam się dotrzeć do kilku wybitnych osobistości ze świata szeroko pojętej sztuki, miłośników konia czystej krwi arabskiej, i nakłonić ich do zainteresowania polską hodowlą. Poza wspomnianym Kennym Rogersem mogliśmy m.in. liczyć na cenionego amerykańskiego reżysera i aktora Mike'a Nicholasa oraz piosenkarza i aktora Wayne'a Newtona.

Prezent z odzysku

Jesienią 1984 roku byliśmy w Animexie bardzo zaangażowani przygotowaniami do aukcji w Scottsdale (USA). Planowany przylot do Polski Kenny'ego Rogersa był nam wtedy trochę nie na rękę, ale nie chcieliśmy zrezygnować z potencjalnych korzyści marketingowych, płynących z tej wizyty...

Stałem w hali przylotowej lotniska na Okęciu w towarzystwie Pana Tadeusza, naszego sympatycznego kierowcy mikrobusu, oczekując na lądowanie prywatnego odrzutowca gościa. Po dłuższej chwili Kenny Rogers pojawił się w holu w towarzystwie pięciu mężczyzn. Jak się potem dowiedziałem, byli to: osobisty sekretarz, doradca finansowy, koniuszy oraz 2 pilotów. Po przywitaniu artysta poinformował mnie, że ma dla Animexu prezent. Chwilę potem dwaj bagażowi podstawili pod nasz mikrobus wózek z kilkoma dużymi przedmiotami owiniętymi czarną folią. Nigdy nie zapomnę sceny, której byłem świadkiem,

po tym jak cały ten bagaż udało się załadować do samochodu. Osobisty sekretarz piosenkarza wręczył jednemu z bagażowych banknot jednodolarowy. Gdy drugi upomniał się o swoją część napiwku, Amerykanin wyjął pierwszemu dolara z ręki i naśladując palcami nożyczki, pokazał, aby przecięli sobie banknot na pół. Już wtedy powinno mi to dać sporo do myślenia. Okazało się bowiem, że podobny afront spotkać miał także Animex, a mnie osobiście, miał przysporzyć sporo niepotrzebnych problemów.

Po odwiezieniu pilotów do hotelu, a „prezentu” do magazynu Animexu, zabraliśmy Kenny’ego Rogersa z trzema pozostałymi towarzyszami w podróż do Janowa Podlaskiego, Białki i Michałowa. Pragnąc pozostawić gościom jak najlepsze wrażenia z pierwszej wizyty w Polsce, urozmaiciliśmy trasę przejazdu zwiedzaniem pałacu w Baranowie i starówki w Sandomierzu. Niestety z ostatniej atrakcji kulturalnej – krótkiego pobytu w Krakowie – piosenkarz zrezygnował. Twierdził, że bardzo się spieszy, więc bezpośrednio po obejrzeniu michałowskich arabsów, pośpiesznie wróciliśmy do Warszawy. Stąd następnego dnia Kenny Rogers wyleciał z powrotem do Stanów. Na pożegnanie otrzymaliśmy jednak zapewnienie, na którym tak bardzo nam zależało: artysta potwierdził swój udział w planowanej na luty 1985 r. aukcji w Scottsdale.

Po powrocie do biura zabraliśmy się za komisyjne rozpakowanie daru. Okazało się, że są nim używane: telewizor, kamera na ruchomym statywie oraz odtwarzacz wideo. Na początku lat 80. XX wieku wideo było ogromną rzadkością na polskim rynku, a jego zakup, nawet dla takiego monopolisty jak Animex, był nieosiągalnym luksusem. Z ogromnym entuzjazmem zabraliśmy się więc za uruchomienie sprzętu. Niestety bez powodzenia. O ekspertyzę i instruktaż musieliśmy zwrócić się zatem do pionu technicznego TVP. Po około 2 tygodniach, poinformo-

Kenny Rogers
(ten z siwą brodą)
w SO i SK Białka
fot. S. Jung



wano nas, że urządzenia, wyprodukowane dla amerykańskiego odbiorcy (w systemie NTSC), nie były kompatybilne z żadnym z europejskich systemów zapisu i odtwarzania. Okazało się też, że były mocno zużyte i przedstawiały co najwyżej wartość złomu kolekcjonerskiego.

Ileż ja się musiałem natłumaczyć, od dyrektora naczelnego aż po stałego rezydenta SB, że był to na pewno prezent od Kenny'ego Rogersa i było to wszystko, co nam przekazał. Nikt mi chyba do końca nie wierzył, że znakomity gość w tak „elegancki” sposób wyczyścił swój garaż, strych lub piwnicę.

Gdy rok później, w związku z jakąś okrągłą rocznicą, znów dostaliśmy prezent (tym razem od naszego włoskiego kontrahenta P. E. Simonazziego) był nim podobny zestaw. Ten jednak posiadał już możliwość zapisu i odtwarzania w obu europejskich systemach: PAL i SECAM. Służył nam bezproblemowo do końca moich dni w Animexie, t. j. do 1988 r. włącznie.

Kenny Rogers dotrzymał słowa i pojawił się na aukcji w Scotsdale. Byli tam również: Mike Nichols oraz Wayne Newton, z którymi wiąże inne, niezwykle wspomnienia...

Gorąca czwórka

Z Mikiem Nicholsem miałem przyjemność odbyć niezapomnianą, zimową podróż pociągiem drugiej klasy z Warszawy do Kwidzyna. Wybraliśmy się tam, by zobaczyć 4 ogiery czystej krwi arabskiej, które kierujący wtedy tamtejszym stadem ogierów inż. Andrzej Orłoś układał do „czwórki”. Po obejrzeniu koni „w ręku” dostaliśmy propozycję, by sprawdzić, jak chodzą w zaprzęgu. Było to przedsięwzięcie nietuzinkowe, bo 4 ogiery, w dodatku araby, to „zestaw” niezwykle rzadko spotykany. Zgodziliśmy się zaciekawieni. Niedawno, jak się później okazało, złożony zaprzęg, w pozycji „stój” prezentował się bardzo atrakcyjnie. Gorzej było, gdy ogiery wystartowały. Szarpnęły z takim impetem, że bryczka zatrzęszczała zło-



Z wizytą na ranchu u Mike'a Nicholasa w USA. Aktor (po lewej stronie kadru) spogląda na jedną z zakupionych w Polsce klaczy
fot. J. Milczarek

wieszczu, grożąc rozsypką. Całą trasę konie próbowały wyrwać się do pełnego galopu. I mimo ogromnego opanowania i niezwyklej zręczności powożącego nie obyło się bez strat. Gdzieś pod koniec „przejażdżki” pękł nam jeden z orczyków. Gdyby nie zauważalne już zmęczenie koni, nie udałooby się zapewne naprawić powozu. Na szczęście pasek od spodni, którym pan Andrzej owinął złamany orczyk, umożliwił nam powrót do stada. Nigdy nie zapomnę twarzy Mike’a Nicholasa podczas tych zmagañ. Zamiast słynnego, promiennego uśmiechu, malowało się na niej przerażenie i rozpacz. Dlatego nie kryłem do Niego podziwu następnego dnia.

Pan Dyrektor, chcąc zatrzeć nie najlepsze wrażenia z przejażdżki czwórka, zaproponował bowiem kolejną, tym razem dwójką, saniami. Mike spojrzał na mnie jakby szukając otuchy i... z wyczuwalnym wahaniem potwierdził gotowość udziału zaraz po śniadaniu. Ruszyliśmy w przepiękne dukty podkwidzyńskich lasów, otuleni baranicami, delektując się bardzo urokliwym, zimowym krajobrazem. Ogiery i tym razem najchętniej poruszały się w galopie. Wszystko szło jednak dobrze do momentu, kiedy nagle... straciliśmy z oczu powożącego. W stylowych saniach, a takimi właśnie jechaliśmy, kozioł jest znacznie wyżej od siedzeń pasażerów, podniosłem się więc, aby zobaczyć co się stało. To co ujrzałem, było tyleż nieprawdopodobne co zabawne. Otóż, droga rozwidła się w tym miejscu na kształt litery Y. W prawo pędziły nasze sanie z wystającym jak husarska kopia „gotym” dyszlem, w lewo zaś – para ogierów w galopie ciągnąca za sobą powożącego, który nie wypuszczając z rąk lejców, w pozycji na brzuchu, zniknął nam z pola widzenia. Na szczęście, kolejny raz, wszystko dobrze się skończyło. Po niedługim czasie powożący, cały i zdrowy, pojawił się z końmi przy saniach. Ponownie niezastąpiony okazał się ten sam pasek Pana Andrzeja, którym tym razem wiązaliśmy pękniętą „wagę”.

Mimo tych mrozących krew w żyłach przygód, a może właśnie dzięki nim, Mike Nichols do końca pozostał miłośnikiem koni arabskich polskiej hodowli.

W świątyni hazardu

Wayne'a Newtona i jego żonę Elaine Okamura, poznałem zupełnie przypadkowo...

W 1973 r. obowiązki służbowe przywiodły mnie do Houston w Teksasie. Towarzyszący mi partner amerykański zaproponował wspólne obejrzenie największych w Stanach zawodów rodeo. Odbywały się one w przepięknej, wielokondygnacyjnej hali widowiskowo-sportowej, znanej tam pod nazwą Astrodome. Z uwagi na to, że decyzję podjęto tuż przed imprezą, a ta cieszyła się ogromnym powodzeniem, pozostały nam jedynie miejsca w ostatniej wolnej łoży honorowej. Ciekawe, że była ona usytuowana na najwyższej kondygnacji, gdzieś na poziomie 4.-5. piętra. Zmagania oglądało się zatem przy pomocy lornetki.

W wykwintnym barze, przeznaczonym wyłącznie do dyspozycji gości tego poziomu, widziałem wielu bogatych i wpływowych Amerykanów. Moją uwagę zwrócił jednak jegomość o wyglądzie Indianina, do którego łoży co chwila ktoś próbował podejść, by się przywitać lub poprosić o autograf. Chętnych było tak wielu, że po pewnym czasie stała już spora kolejka. Znalazł się w niej także i mój amerykański współtowarzysz. Jak mi później powiedział, pochwalił się Wayne'owi Newtonowi – bo to on właśnie odbierał hołdy nieprzeciętnej popularności (m.in. za ówczesny hit „Jingle Bell Rock”) – że ma z sobą przybysza z Polski. W ten sposób zostałem zaproszony do łoży aktora i piosenkarza. Ten, zorientowawszy się, że zajmuję się końmi, pochwalił się posiadaniem stadniny koni arabskich oraz ogiera czystej krwi arabskiej z Polski o nazwie Nabor.

Wyraziłem zachwyt i jednocześnie żal, że nie mogę zobaczyć tego zasłużonego reproduktora. Jakież było moje zdziwienie, a jednocześnie radość, kiedy natychmiast po tym usłyszałem, że to żaden problem. Artysta zapewnił, że w jego samolocie jest dla mnie miejsce, a farma znajduje się w Nevadzie, czyli, bagatela, około 2000 km od Houston...

Lot do Las Vegas trwał około trzech godzin. Na lotnisku czekał już na nas kierowca w białych rękawiczkach i ciemno-brązowy rolls-royce. Na super nowoczesnej, jak na tamte czasy, farmie Wayne'a Newtona spędziłem 2 dni. W świątyni hazardu, jaką było i jest Las Vegas miałem sposobność poznać bardzo przygnębiające efekty uzależnienia od gry, którym niestety dotknięta była ówczesna żona artysty.

Dziś nie ukrywam satysfakcji z tego, że nie uwiódł mnie blichtr amerykańskiego show biznesu, o który otarłem się w czasach, gdy większość polskiego społeczeństwa nie marzyła o zagra-

Poza artystami w aukcjach jananowskich brali udział zagraniczni przedsiębiorcy i politycy.

Na zdjęciu obok rozmawiam z J. F. Simmsem - gubernatorem stanu Nowy Meksyk (w białej koszuli i krawacie). Rozmowie przysłuchuje się jeden z największych biznesmenów stanu Nowy Jork - L. Rubin (w okularach) fot. nieznaną



nicznych wyjazdach, lecz o tym, jak związać przystawiony koniec z końcem. Stało się tak może dlatego, że dane mi było poznać tych kilku celebrytów także wtedy, gdy reflektory gasły i wracali do swych zwyczajnych, nie „pudrowanych” zachowań...

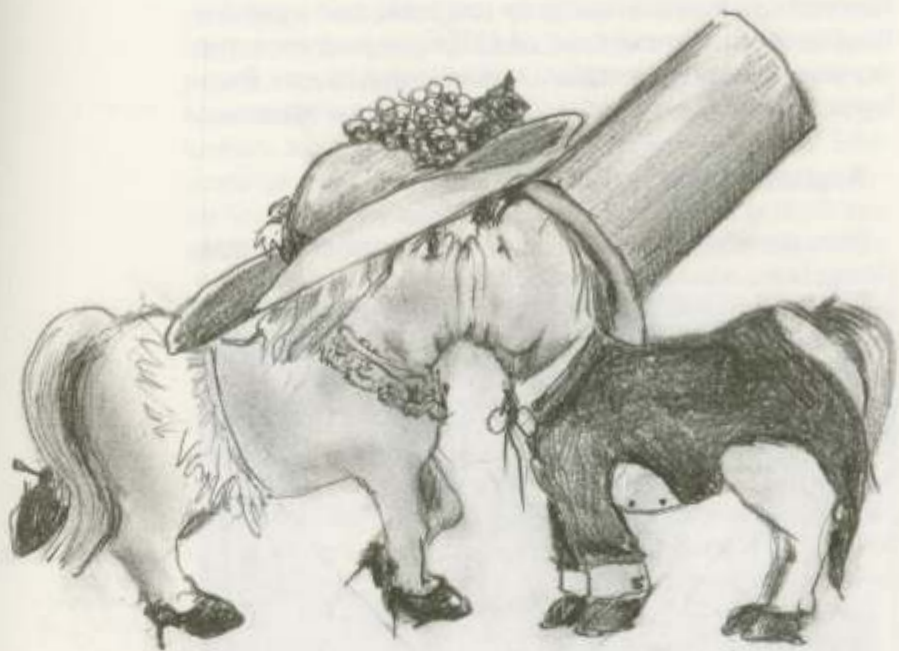
Nagle uświadamiam sobie, że już 19.00. Ja także muszę wracać do codziennych obowiązków. Moje dwa konie czekają na wieczorny obrządek. Dziś już nie skończę porządkować zdjęć. *Może i dobrze – myślę sobie. Jest w końcu tyle do rozpamiętywania...*



[Faded text visible on the right side of the page, likely bleed-through from the reverse side. The text is mostly illegible but appears to be a list or series of short paragraphs.]

Bezprecedensu...

8 | licytowałem w Newmarket



Na dworze przejmujący ziąb. Unosząca się w powietrzu wilgoć i przesywający wiatr potęgują uczucie zimna. Na początku grudnia w środkowo-wschodniej Anglii taka pogoda nie jest jednak niczym niezwykłym. Wszystko za sprawą płaskiego ukształtowania terenu i bliskości Morza Północnego. Warunki te sprzyjają intensywnemu wzrostowi roślinności, w tym przede wszystkim trawy, która nawet w grudniu pozostaje bujna i intensywnie zielona. Jest to jeden z podstawowych czynników wpływających na jakość hodowanych tam koni...

Oddalone o około 90 km na północny wschód od Londynu, małe, bo liczące niewiele ponad 10 tys. mieszkańców, miasteczko Newmarket było mekką hodowców koni pełnej krwi angielskiej. Przyciągało jak magnes (i to już od 1911 roku) grudniową, międzynarodową aukcją „materiału hodowlanego” tej rasy. Dwukrotnie miałem sposobność uczestniczyć w tym wydarzeniu...

Angielski chłód

Pierwsze skojarzenie, jakie wiąże z Newmarket, to dreszcze. Wobec braku odpowiedniej ilości hoteli większość uczestników aukcji lokowana była w pokojach wynajmowanych przez organizatorów od mieszkańców tego małego miasteczka. Angielskie domy, tradycyjnie budowane bez ogrzewania, z pojedynczymi szybami w metalowych oknach, nie pozwalały wygrzać się nocą. Wejście pod kołdrę wymagało nie lada odwagi. I nie pomagała tu nawet butelka z gorącą wodą wkładana przez właścicielkę domu do łóżka, na pół godziny przed zapowiadzianym położeniem się do snu. Zgrabiła ręce i kostniejące z zimna stopy dawały się więc we znaki nie tylko w dzień.

W takich okolicznościach cel naszej delegacji wydawał się trudniejszy do osiągnięcia niż przypuszczaliśmy. Wybór jednego (do dwóch) ogierów, które odpowiadałyby najbardziej naszemu

zapotrzebowaniu z kilkudziesięciu prezentowanych nam koni, był sam w sobie wyzwaniem. Wyzwaniem – odpowiedzialnym, ale i koniecznym, ponieważ potrzeba ciągłego „dolewu” świeżej krwi do naszej rodzimej hodowli koni pełnej krwi angielskiej była, i jest nadal, bezdyskusyjna.

Na przełomie lat 60. i 70. XX wieku procedurę zakupu koni z Anglii w skrócie opisać można by następująco. Raz na kilka lat polscy hodowcy otrzymywali limit dewiz na zakup ogiera/ogierów pełnej krwi. W ich imieniu Centrala Handlu Zagranicznego Animex powiadamiała swój brytyjski odpowiednik – British Bloodstock Agency – o zamiarze zakupu, podając ilość koni, preferencje hodowlane oraz, co dzisiaj może brzmieć zabawnie, budżet przeznaczony na zakup. Następnie delegacja, złożona przede wszystkim z ekspertów hodowlanych, udawała się do Newmarket na kilka dni przed aukcją, w celu ostatecznego wyboru kilku koni spośród zaproponowanego przez BBA „materiału hodowlanego”. Wytypowane ogiery były następnie licytowane na aukcji w naszym imieniu przez brytyjskiego agenta. Zgodnie z tamtejszymi regułami podjąć się tego mogły

Ogier Torpid
podczas prezentacji
przed aukcją
w Newmarket
fot. J. Milczarek



jedynie upoważnione do tego agencje, a taką była BBA. Kupić udawało się tego konia, który w trakcie licytacji jako pierwszy z listy naszych ekspertów mieścił się w deklarowanym przed przyjazdem limicie finansowym. Rola strony polskiej była więc w ogromnej mierze bierna. A w praktyce okazywało się, że ceny płacone za konie oscylowały zwykle wokół zgłoszonego limitu.

Kiedy na początku lat 70. XX w. po raz pierwszy pojawiłem się w Newmarket w towarzystwie dwóch znakomitych, nieżyjących już ekspertów p.p. Marka Piotrowskiego i Bolesława Orłosia, zaniepokoił mnie ten daleki od wolnorynkowego model współpracy. Kilkanaście lat później w grudniu 1983 roku, gdy osiągnąłem już w Animexie pozycję osoby decyzyjnej, udałem się do Newmarket powtórnie z zamiarem jego modyfikacji. Tym razem towarzyszyli mi pp. Jerzy Budny, Roman Krzyżanowski oraz Jarosław Koch.

Zmiana na wagę dewiz

Po raz pierwszy przed wylotem do Anglii nie podaliśmy kwoty, jaką zamierzaliśmy wydać na zakup ogiera/ów pełnej krwi. Po przyjeździe na miejsce, gdy trzeba było jakoś uzasadnić ten wyłom w dotychczasowej praktyce, poinformowaliśmy stronę brytyjską, że limitu środków na ten konkretny zakup nie udało się określić przed naszym wyjazdem z kraju. Zapewniliśmy też o niezwłocznym powiadomieniu BBA o podjętych w Warszawie decyzjach. Zabawne było to, że codziennie szefowie agencji dopytywali się, czy nie udało się już ustalić wysokości budżetu. Zwlekaliśmy z podaniem kwoty aż do rozpoczęcia aukcji. Dzięki temu po raz pierwszy nie przy stoliku dla gości, lecz przy samym ringu stałem obok licytującego w imieniu Animexu przedstawiciela BBA. I za każdym razem to ja dawałem znak, czy ma licytować dalej, czy nie. Udało nam się wtedy zakupić do Polski 2 bardzo interesujące ogiery. Były to: Pyjama Hunt

oraz Orange Bay. Ten ostatni, poprawny eksterierowo i legitymujący się bardzo dobrą karierą wyścigową (pierwsza trójka koni wyścigowych w drugiej połowie lat 70. we Włoszech) niestety nie dał w Polsce równie utalentowanego potomstwa. Z kolei Pyjama Hunt krył u nas zaledwie 6 lat i padł w 1990 r. – podobnie, niestety, jak prezentowany wyżej Torpid sprowadzony do Polski w 1970 r.

Wbrew obawom niektórych zmiana dotychczasowych reguł gry nie wpłynęła w jakimkolwiek zauważalnym stopniu na nasze stosunki z BBA. Do Anglii podróżowałem jeszcze kilkakrotnie, odwiedzając m.in. słynny tor wyścigowy w Ascot, gdzie w odległości około 10 km od rezydencji królewskiej Windsor gromadziła się międzynarodowa śmietanka towarzyska. Mimo że ten tłum dżentelmenów w cylindrach i eleganckich dam w wyszukanych, często mało praktycznych, kapeluszach trudno wymazać z pamięci, to nic nie przebije innego obrazu.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie zrobił na mnie widok dwulatków pełnej krwi idących stępem na trening przez zatłoczone (przez przybyłych na aukcję hodowców) centrum Newmarket. Dosiadane przez młodzież, szły z przysłowiową angielską flegmą w stawkach liczących po kilkanaście koni pomiędzy rzędami samochodów jadących główną ulicą miasta. Niewyobrażalne, że zaledwie kilka chwil później te same konie w cwale walczyły ze sobą o każdy centymetr przewagi...

Po blisko 20 latach pracy dla Animexu postanowiłem pójść własną drogą. Z końmi jednak się nie rozstałem... Czas płynął. Dzieci rosły. Nadszedł czas na realizowanie końskiej pasji wraz z nimi.

Wśród wielu niezapomnianych wspomnień z tego okresu są takie, którymi chciałbym się z Państwem podzielić. Te chwile za kierownicą koniowozu, przy wybieraniu słomy czy na tyłach budki sędziowskiej mają dla mnie ogromną wartość. Wszak (mam nadzieję, że małżonka wybaczy) konie to pierwsza miłość mego życia...

Bez precedensu...

91 wodolotem na CDI Kopenhaga



Moja starsza córka, Katarzyna, dowiedziała się dość przypadkowo, że jest do sprzedania pewien 10-letni skoczek o wyjątkowym klusie wyciągniętym. Dalsza kariera skokowa Felietona (tak się nazywał) była wątpliwa, a cena przystępna. Córka zdecydowała się na zakup i masywny, lekko garbonosy gniadosz, w typie będącym zaprzeczeniem klasowego konia ujeżdżeniowego, znalazł się w stajni w Zagoździe. Tuż po zakupie Katarzyna zmieniła mu nazwę na Veni Vidi Vici.

Veni miał alergię, co stanowiło ogromny kłopot. Trzeba było ulokować konia w odosobnionym angielskim boksie, stale, niezależnie od pory roku, otwartym górą, na podłożu wiórowym, systematycznie zraszany wodą.

Widok tego samotnika z nieatrakcyjnym tłem, w dzień i w noc smutno wyglądającym na zewnątrz boksu, wyzwał w każdym, kto wizytował wtedy Zagozd, autentyczne współczucie. Także transport konia stanowił nie lada wyzwanie. Veni nie mógł jechać w zamkniętej przyczepie. Specjalnie dla niego zaadaptowano przyczepę, pozostawiając częściowo otwartą górę, co pozwalało koniowi jechać z głową i szyją wysuniętymi na zewnątrz. Takie podróże pochłaniały dużo więcej czasu, co właśnie było przyczyną niezwykle zabawnych (tak je określamy dzisiaj) perypetii z jego udziałem.

W kwietniu 1997 roku przyszło imienne zaproszenie dla Katarzyny do udziału w organizowanych w czerwcu CDI w Kopenhadze. Córka poprosiła mnie o pomoc w dowiezieniu konia na zawody. Zdecydowaliśmy, że do stolicy Danii dojedziemy promem ze Świnoujścia. Zgodnie z wyliczeniami mieliśmy być w porcie około 19.00. Niestety, jazda z wychylonym Venim po krętych drogach Pomorza Zachodniego spowodowała, że w porcie zameldowaliśmy się później, na godzinę przed planowym odejściem promu do Kopenhagi. Do tego czasu

CDI - Concours
Dressage
International

Veni Vidi Vici
w piruceie
w galopie
w lewo
fot. J. Soczyńska



obsługa promu podjęła decyzję, by na zarezerwowane przez nas miejsce załadować ciężarówkę z przyczepą, zakładając, że w tak krótkim czasie nie udałoby nam się dokonać odprawy w wywozie. Nie doceniono jednak naszej sprawności. Na 15 minut przed zamknięciem odprawy promu byliśmy gotowi do załadunku, pewni, że nasze miejsce zostanie zwolnione. Okazało się jednak, że załadowany wcześniej zestaw samochodowy nie mógł wyjechać z promu, aby zrobić nam miejsce, ponieważ nie można było odnaleźć kierowcy, który gdzieś sobie poszedł (pewnie na piwo do baru). Przedstawiciele spedytora poinformowali nas, że nie mogą dłużej wstrzymywać promu. Zasugerowano nam załadunek na odpływający za godzinę prom do szwedzkiego Malmö, skąd możemy się dostać do Kopenhagi przez nowo otwarty most łączący szwedzkie i duńskie wybrzeża. Przystaliśmy na propozycję, tym bardziej że zaoferowano nam pierwsze miejsce w rzędzie, licząc od strony dziobu, co wydawało się dużo bardziej komfortowe dla konia alergika.

Początek kłopotów

Po bezpiecznej przeprawie przez Bałtyk wczesnym rankiem wptynęliśmy do Malmoe. Był piątek i świeciło słońce, gdy wypoczęci i pełni optymizmu wyjechaliśmy na szwedzki ląd. Nie zdążyliśmy jednak opuścić nabrzeża, gdy zaczęło się dziać coś niezwykłego. Wśród służb portowych, zwłaszcza celnych – poruszenie. Otrzymaliśmy polecenie przejechania na osobny plac i pozostania w samochodzie do czasu przybycia przedstawiciela służby weterynaryjnej. Wyjaśniono nam, że popełniliśmy wykroczenie i poinformowano, że będziemy wracać tym samym promem z powrotem do Świnoujścia. Szczegóły objaśnił nam przedstawiciel szwedzkiej weterynarii. Okazało się, że w Szwecji obowiązywała w tym czasie zasada, iż wszystkie wwożone żywe zwierzęta odprawiał wyłącznie port w Ystad. Małym pocieszeniem był fakt, że nie tylko my zostaliśmy wprowadzeni przez stronę polską w błąd. Na nabrzeżu można było bowiem dostrzec sporą ilość metalowych, ażurowych klatek, z których żałośnie wyglądały psy, koty i kilka papug. Wszystko to zostało z naszego oraz poprzednich promów zarekwirowane i czekało na powrotny rejs do kraju pochodzenia.

Sytuacja wydawała się beznadziejna. *Jeśli nas cofną, to po zawodach* – kołatało mi z tyłu głowy. Przyznaję, że znając trochę Szwedów, przyjąłem słowa funkcjonariusza jak wyrok. Moje załamanie i bierność nie udzieliły się jednak Kasi, w którą jakby na przekór wstąpił nieznan mi wcześniej duch wojownika. Zaskakująco bogaty arsenał technik perswazyjnych popartych dramatyczną grą aktorską zaczął powoli przynosić efekty. Pierwszym był fakt, że w ferworze dyskusji i konsultacji szwedzkiej służbie celnej umknął moment, w którym polski prom cichutko odplynął z powrotem do Świnoujścia. (Kapitan pewnie wiedział, w jakie tarapaty wpadliśmy za przyczyną jego firmy). Zostaliśmy więc z nierozwiązanym problemem

sami, tj. my z Venim oraz nieustępujący Szwedzi. Perspektywa czekania 24 godziny na prom do Polski z koniem pod gołym niebem zaczęła być kłopotliwa także dla strony szwedzkiej. W końcu, pod szczególnymi warunkami, otrzymaliśmy upragnioną zgodę na opuszczenie portu w Malmö i terytorium Szwecji. Do Kopenhagi mieliśmy jednak trafić najkrótszą drogą i niezwłocznie, co wykluczało możliwość przejazdu mostem. Pozostawała przeprawa najbliższym promem. Traf chciał, że nabrzeże, z którego odpływały promy do Kopenhagi, znajdowało się z drugiej strony miasta. Mieliśmy zatem nieplanowane zwiedzanie Malmö, do tego w nie lada asyście. Do dziś zachodzę w głowę, co myśleli przechodnie na widok kawalkady złożonej z czterech pojazdów policji i służb celnych, jadących na sygnale i z uruchomionymi „kogutami”, a między nimi naszej grafitowej toyoty camry z przyczepą i wyglądającym z niej Venim. Wyglądało to, wypisz wymaluj, jak eskorta przytapanej na gorącym uczynku kontrabandy, i to z udziałem konia. Chociaż, doskonale to pamiętam, wychylony na zewnątrz łeb Veniego zdawał się wyrażać zdecydowany protest.

Gdy osiągnęliśmy wreszcie wskazaną przystań, okazało się, że najbliższym promem do Kopenhagi był... wodolot.

Na odkrytym pokładzie stał już jakiś merc, porsche i kilku pasażerów. Statek wyglądał bajecznie, a rejs (lot?) do Kopenhagi miał zająć zaledwie pół godziny. Jednak kwota, jaką przyszło zapłacić za ten przejazd „najszybszy i najkrótszą drogą”, zwała nas z nóg. Bilet pochłonął niemal wszystkie pieniądze, jakimi dysponowaliśmy.

Jeść czy nie iść?

Na miejsce zawodów, w pięknym podmiejskim parku, dotarliśmy już bez komplikacji, w dniu, gdy Kasia miała jechać

pierwszy konkurs. Brak odpoczynku dał się we znaki i jeźdźcowi i koniowi, którzy wystąpili poniżej swoich możliwości. Słaby wynik nie był jednak jedynym problemem. Brakowało nam pieniędzy na wpisowe na sobotę. Poprosiliśmy więc organizatora o umożliwienie kontaktu z PZJ-otem, którego chcieliśmy prosić o zagwarantowanie zwrotu opłat po powrocie do kraju. Takie potwierdzenie otrzymaliśmy następnego dnia, co umożliwiło kolejny start. Tym razem Kasia i Veni osiągnęły dobry wynik i płatne miejsce. Wygrane pieniądze nie były duże, a ponadto do wzięcia dopiero w niedzielę. Stale brakowało więc środków, nawet na jedzenie. W sukurs przyszło zaproszenie na wieczorne przyjęcie w formie szwedzkiego stołu, organizowane w pałacyku przyległym do miejsca zawodów. Z zaproszenia wynikało, że gościem honorowym na przyjęciu miała być królowa Danii Małgorzata II. Nie mogliśmy przepuścić takiej okazji!

Pech chciał, że tuż przed wyjściem na podkradzonej Veniemu marchwi złamałem prawą górną jędynkę. Nie wyobrażałem sobie uczestnictwa w przyjęciu w takich okolicznościach. Córka jednak nalegała, szantażując odmową pójścia w po-jędynkę. W końcu przystałem na udział (no bo który ojciec przyłożyłby rękę do pewnej śmierci głodowej własnej córki?), zapowiedziałem jednak maksymalne ograniczenie aktywności towarzyskiej w trakcie imprezy. Ustaliśmy również, że wystąpię tam w roli trenera.

Podczas przyjęcia udało nam się zaszyć w kąciuku, gdzie z apetytem konsumowaliśmy dostępne smakołyki, szczęśliwie nie będąc niepokojeni przez nikogo. Wszystko zmieniło się jednak z chwilą pojawienia się królowej w otoczeniu organizatorów zawodów. Uczestnicy przyjęcia zaczęli gromadzić się w narodowościowe grupy i grupki, a Jej Wysokość Małgorzata II podchodziła do każdej z nich, by się przywitać i zamienić kilka grzecznościowych zdań.

Z coraz większym przerażeniem oczekiwałem na naszą kolej, klnąc w duchu, że zgodziłem się uczestniczyć w tym przedsięwzięciu – w takich szczyrbatych okolicznościach. Nieuchronnie przyszła wreszcie kolej na naszą „ekipę”. Po przedstawieniu się, co z wiadomych względów uczyniła Kasia, konwersacja przebiegała tak, jakby mnie tam nie było. Córka, z porażającą mnie dezynwolturą, perorowała w najlepsze. Stojąc około pół metra od nich, uważnie obserwowałem twarz monarchini, która nie wykazywała oznak zniecierpliwienia. Wręcz przeciwnie, konwersacja stawała się z chwili na chwilę bardziej żywa, dowcipna i była najdłuższą z dotychczas przeprowadzonych. Kiedy po pewnym czasie talent oratorski córki na chwilę osłabł,

Jej Wysokość Małgorzata II spytała, wskazując na mnie, tj. jak się wyżej rzekło, „trenera”:

– *Czy ten pan mówi w innym, aniżeli polski, języku?... Bo ja niestety nie znam polskiego.*

Milczałem dalej, licząc, że córka odpowie coś sensownego. No i ustyszałem:

– *Niestety nie, Wasza Wysokość, ale rozumie w s z y s t k o !*

Tym słowom towarzyszył filuterny błysk oka, którego znaczenie pozostało naszą rodzinną tajemnicą.

W niedzielę Katarzyna nie jechała programu dowolnego, ponieważ dobry wynik w sobotę



Puchar
zdobyty przez
Kasię i Veniego
w Kaposvar
w 1998 roku
fot. K. Miłczarek

nie zrekompensował słabego z piątku, Veni nie znalazł się więc w pierwszej dziesiątce. Wczesnym popołudniem wracaliśmy już polskim promem do kraju. Po około 20 godzinach dotarliśmy z powrotem do Zagozdu.

Był to jeden z wielu występów Kasi i Veniego – skoczek, który po niespełna 2-letnim treningu ujeżdżeniowym z powodzeniem brał udział w międzynarodowych konkursach Grand Prix, a jesienią 1999 roku został brązowym medalistą mistrzostw Polski.



Bezprecedensu...

10 | z lasu na konkursowy czworobok



Wraz z młodszą córką oglądamy stare nagrania przejazdów.

– *Popatrz: piruet... niezły, ale w przejściu lekko się usztywniła... Przewiń trochę do przodu... Nie, za daleko. To już zgrupowanie w Drzonkowie. Potem będą Mistrzostwa Europy w Książu...*

Zapis nagle się kończy, a ja z niedowierzaniem i odrobiną żalu uświadamiam sobie, że już prawie 20 lat minęło od tamtej pory. Po tych, ciągle żywych, wspomnieniach pozostało jedynie kilka kaset 8mm w szafce pod telewizorem i jeden wyblakły wydruk z rankingiem młodych jeźdźców z 1999 roku... Choć zaczęło się też niepozornie, w leśnym dukcie w otulinie Kampinoskiego Parku Narodowego...

Z koniem można wszystko... no prawie wszystko. Przypominam sobie pierwsze jazdy na mojej, obecnie już 15-letniej, klaczy Orlej. Będąc pięcioletkiem, kompletnie nie tolerowała najmniejszych nawet kałuży. Zabawne, choć i niezmiernie irytujące było to, że gdy po zejściu z konia w rękę prowadziłem ją przez kałużę, szła za mną bez większego wahania. Jednak jak tylko wsiadałem na nią i ponawiałem próbę z siodła, zaczynał się istny cyrk. Po każdej takiej próbie dukt leśny wokół miejsca z wodą był tak zorany, jakby kwadrans wcześniej walczyły tam ze sobą byki w czasie apogeum rykowiska. Dzisiaj, w myśl dewizy „Ćwiczenie czyni mistrza”, Orla wchodzi w każdą kałużę i nie boi się nawet głębszej wody.

byk – samiec jelenia

Przy olbrzymiej pasji i determinacji można dokonać jednak rzeczy znacznie większych. Chciałbym opisać historię o tym, jak bez profesjonalnej ujeżdżalni, bez hali zimą, fachowych uwag trenera i dostownie z lasu, udało się nam zakwalifikować do kadry narodowej... I choć nie jest, i być nie powinna, to droga dla wszystkich, to niech będzie ona zachętą do realizacji nawet pozornie nierealnych marzeń.

Przewińmy więc film kilka lat wstecz...

Niewinne początki

Było to tak. Mama kilkuletniej dziewczynki dostała w prezencie roczniaka czystej krwi arabskiej. Radość córki była ogromna, jednak dla rodziców, mimo ich wielkiej sympatii do koni, podarunek stanowił niemały problem. Zdecydowali się ostatecznie umieścić młodego konia w profesjonalnej stajni, gdzie pod fachową opieką miał osiągnąć wiek umożliwiający użytkowanie „pod wierzch”. Niestety radość skończyła się zaledwie po trzech miesiącach, gdy na skutek niefrasobliwości i złego nadzoru koń padł rażony prądem.

Jak to z dziećmi bywa, niedługo trzeba było czekać na prośby, na początku nieśmiałe, z czasem jednak coraz bardziej natrętne, by kupić nowego konia. Ojciec ujęty determinacją córki, postanowił w końcu nabyć w Janowie Podlaskim wybrakowaną młodą klacz arabską. Wtedy nie wiedział, że ta transakcja rozpocznie w jego życiu zupełnie nową, niezapomnianą przygodę. Przygodę z trenerstwem.

Od samego początku wpajał córce właściwe nawyki w obsłudze z koniem, uczył pielęgnacji, obrządku i towarzyszył dziecku podczas jego pierwszych jazd. Starał się nie tylko przekazać jeździecką pasję, ale i wzbudzić w córeczce samodyscyplinę, cierpliwość i determinację. Ona szybko „chwyciła bakcylią” i pokochała konie.

Czas płynął. Dziecko urosło, więc zdecydowano się zmienić konia na wyższego. I tak miejsce siwej arabki zajęła 4-letnia kasztanka rasy budionnowskiej. Koń przyjechał do Polski prosto z pastwiska i choć był zajeżdżony, trzeba go było uczyć wszystkiego od podstaw. Para: dopiero co upieczo-

ny jeździec – córka i początkujący trener – ojciec, stanęła więc przed nowym wyzwaniem. Pojawiła się potrzeba systematycznego treningu, dla której ułatwieniem okazała się przeprowadzka rodziny na podwarszawską wieś i możliwość „postawienia” konia w stajni blisko domu. W taki sposób Diana (tak brzmiała polska nazwa konia) wylądowała w niewielkiej drewnianej stajni w podwarszawskim Bliznem. Jednak coś za coś. Dogodna lokalizacja wykluczała niestety dobre warunki do jazdy. Już wtedy jasne było, że córka boi się skakać, za to ciągnie ją do ujeżdżenia. Nigdzie w okolicy nie było jednak większego placu, który ktoś chciałby udostępnić na czworobok. Jedynym rozwiązaniem pozostał więc oddalony o blisko 1,5 kilometra nieduży kompleks leśny „Łosiowe Błota”, graniczący z otuliną Puszczy Kampinoskiej. Za zgodą ówczesnego, bardzo wyrozumiałego, leśniczego wąskie leśne dukty, przeorywane systematycznie z uwagi na ich znaczenie przeciwpożarowe, oraz niewielka polanka stały się dla trójki placem treningowym. Odtąd, prawie codziennie, złota kasztanka z młodą dziewczynką na grzbiecie, towarzyszący im (na pieszo lub na rowerze) tato i biegnący nieopodal wyżej, przemyciała poboczem asfaltowej drogi, by po około kwadransie znaleźć się w ściśle wyznaczonej przecince lasu.

Z leśnego duktu na zawody

Wkrótce ojciec, zawodowo dyrektor spółki produkcyjno-handlowej, tak przejął się rolą trenera, że stała się ona dla niego najważniejszym zajęciem w życiu. Każdego dnia z niecierpliwością czekał na powrót dziecka ze szkoły i pilnował, by nie pominąć żadnej jazdy. Ogromną frajdę sprawiało mu przyglądanie się jak „zielona” dotąd Diana i początkująca amazonka wykonywały swe pierwsze półpiruety w stępie, ciągi w kłusie czy kontrgalopy. Entuzjazm był tak wielki, że w ślad za nim pojawił się pomysł sprawdzenia konia i amazonki w konkursie. Pierwsze zgłoszenie

konia i niezrzeszonej zawodniczki na okręgowe zawody były dla obojga niezapomnianym przeżyciem. Silne emocje i pytanie: jak wśród jaśniejących bielą płotków, dźwięków megafonu, tłumu zwierząt i ludzi zachowa się koń „z lasu”. Jak ocenią go profesjonalści? No i niedługo potem pierwszy sukces! Klacz uplasowała się w środku stawki. Wynik nie zwał z nóg, ale mobilizował do dalszej „zabawy” w ujeżdżeniu.

Konsekwentnie pięli się wyżej, osiągając coraz większą dokładność wykonywanych elementów oraz dołączając do wytrenowanych nowe, coraz trudniejsze. I tak po kilku latach Diana znalazła się w czołówce, pośród koni tak utytułowanych zawodniczek jak: Żaneta Skowrońska, Klaudyna Pisarska czy Justyna Dysarz. I choć do końca kariery sportowej, miejscem jej treningu była niewielka polanka w lesie, a trenerem (poza sporadycznymi wyjazdami i spotkaniami ze starszą siostrą) – tato, to ich wyniki przeszły do historii. Osiągnięte przez tę parę rezultaty zapewniły jej miejsce w reprezentacji Polski, na Mistrzostwach Europy, w kategorii Młodych Jeźdźców, w Książu w 1999 roku. Kilka miesięcy później, podczas Halowych Mistrzostw Polski Seniorów, para zajęła 6. miejsce, debiutując w tak wysokich

Czas na zasłużony odpoczynek po dopiero co przejechanym czworoboku
fot. A. Milczarek



konkursach. Ostatecznie Diana osiągnęła dobry poziom Inter I. Zdaniem specjalistów – było to jej maksimum.

Intermédiaire I (Inter I) – program o wyższym stopniu trudności

Dlatego można... Można, także w warunkach leśnych, bez profesjonalnego sprzętu, ucząc się na własnych błędach i obserwując innych, powoli acz konsekwentnie, wypracować mistrzostwo. Może nie na szczycie pudła, ale czy to tak istotne? W końcu to, co najważniejsze, to frajda z pracy z koniem i ten zastrzyk adrenaliny płynący z czystej sportowej rywalizacji.

Czy to zawsze jest łatwe i przyjemne? Oczywiście, że nie! Głęboko w pamięci pozostały momenty, w których euforia gaśta, jak choćby międzynarodowe zawody w Józefinie, z których zostaliśmy na chwilę przed startem wycofani z uwagi na nieaktualne szczepienie przeciw grypie. Ale nawet wśród niepowodzeń można odnaleźć coś zabawnego. Nie zapomnę występu młodzianki Diany w konkursie przebiezańców, podczas którego ku zaskoczeniu jurorów najspokojniej w świecie najpierw wyskoczyła, a następnie z powrotem wskoczyła do czworoboku, powodowana najwyraźniej ogromną wolą walki młodzianki amazonki w białym kitlu lekarskim.



Czym różni się koń „z lasu” od konia „z ujeżdżalni”? Między innymi brakiem białych owijek podczas dekoracji
fot. A. Milczarek

Bez precedensu...

11 | **jak będąc 75+ rozpocząłem przygodę z WKKW**



Przyznam, że z mieszanymi uczuciami śledziłem w 2016 roku debatę kandydatów na stanowisko prezesa PZJ. Zirytowała mnie m.in. zapowiedź zmniejszenia wsparcia ze strony władz PZJ dla organizatorów towarzyskich imprez jeździeckich. Uważam, że szerokie zainteresowanie jeździectwem i sportem amatorskim przyczynia się do promocji sportu wyczynowego i pośrednio jego rozwoju.

Nie ulega przecież wątpliwości, że jeździectwo tylko dla nielicznych staje się środkiem do osiągnięcia zawodowej kariery i głównym źródłem dochodów. Dla ogromnej rzeszy pozostałych jest „tylko” pasją, ulubionym sposobem na spędzanie wolnego czasu, a w wielu wypadkach także stylem życia angażującym (emocjonalnie, finansowo, logistycznie) całe rodziny. Sam nie raz przekonałem się, jak ogromną satysfakcję można czerpać z sekundowania karierom sportowym dzieci, wnucząt czy znajomych. Bo jak w znanym bon motie: żeby napić się piwa, nie trzeba zaraz kupować całego browaru.

Nie dziwi mnie więc, że amatorskie i towarzyskie zaangażowanie w sport jeździecki i hodowlę koni wierzchowych lub zaprzęgowych staje się coraz powszechniejsze. Potwierdzeniem tego trendu niech będzie na przykład to, że na odcinku około 15 kilometrów na zachód od granicy administracyjnej Warszawy, tylko wzdłuż jednej drogi wyjazdowej (nr 580) powstało i funkcjonuje z powodzeniem 12 stajni i hoteli dla koni. Daje to średnio jeden obiekt na 1,2 km. Imponujące nasycenie, nieprawdaż? Są to w przytłaczającej większości ośrodki jazdy uprawianej amatorsko. Jestem przekonany, że w najbliższej przyszłości nastąpi dalsze upowszechnienie tej formy jeździectwa. Świadczą o tym pełne (jak rzadko kiedy dotąd) stajnie/hotele dla prywatnych koni w moim najbliższym sąsiedztwie. Naturalnym następstwem będzie wzrost zainteresowania organizacją i uczestnictwem w towarzyskich imprezach jeździeckich.

Nie ukrywam, że pokładam w tym również swoje osobiste nadzieje...

Od ponad 25 lat prowadzę małą stajnię na własny użytek. Stało w niej zwykle kilka koni – głównie klaczy, które rodziły źrebięta. W wyniku właściwej selekcji reproduktorów udało mi się zwiększać potencjał użytkowy źrebiąt. I tak w mojej minihodowli dochowałem się klaczy sp (notabene wnuczki nowielickiego Cabroła), która w moim przekonaniu ma spore predyspozycje skokowe, w tym przede wszystkim w skokach przez przeszkody terenowe. Kilka lat temu chciałem zweryfikować swoją opinię na jej temat, jednak mój wiek (75+) wykluczał udział konia pode mną w zawodach WKKW. Klacz się starzała, a próby znalezienia profesjonalnego jeźdźca w najbliższej okolicy okazały się bezowocne. Jediną nadzieją na możliwość sprawdzenia klasy konia pozostał wnuczek, Tomek Jasiński. Problem w tym, że jeździł już wtedy profesjonalnie dwie inne konkurencje i mieszkał daleko. Poza tym koń „przygotowany” przez dziadka nie budził entuzjazmu ani u niego, ani u jego rodziców. W końcu, po kilku próbach, udało mi się ostatecznie przekonać niezdecydowanych i uzyskać wstępną zgodę. Jednak pod pewnymi warunkami: konkurs nie mógł być wyższy niż klasy L i przed występem para miała pozytywnie przejechać próbę terenową.

Konkursy klasy L należą do najprostszych, wysokość przeszkód wynosi około 1 metra

Oswajanie terenu

Zgłosiłem zatem konia do zawodów, upraszając u organizatorów zgodę na próbny przejazd przeszkód krosowych. Około trzech tygodni przed imprezą pojechaliśmy na miejsce zawodów. I, jak to w przypadku konia „z lasu”, na początku wszystko wyglądało bardzo zniechęcająco. Klacz przejawiała silne pobudzenie (powodowane głównie kolorowymi banerami i innymi okolicznymi atrakcjami) i w konsekwencji nieste-



Klacz Optima włpk (Kesar xx – Omega po Juror) w skoku przez Malucha. To zdjęcie ma już swoją historię. Opatrzone podpisem: „Uwaga! Pilnie sprzedam Malucha!”, wygrało kilkanaście lat temu konkurs fotograficzny miesięcznika „Konia Polski” fot. K. Szarata

rowności. Dopiero po około 15 minutach osiągnęliśmy stan „konia w rękę”. Można było zacząć próbę. Od pierwszych, najmniejszych przeszkód widać było, że koniowi skoki sprawiają autentyczną frajdę. Zwiększaliśmy zatem wymagania, skacząc wyższe i trudniejsze konstrukcje. Mniej więcej w połowie próby, wnuczek osiągnął taką pewność siebie i ochotę, że zabrał się do skakania przeszkód przygotowanych dla krosu klasy N. Wśród nich szczególnie groźnie prezentował się tzw. kornier, wykonany z jaskrawo pomalowanego drzewa sosnowego. Klacz nigdy wcześniej czegoś podobnego nie skakała. Mimo sprzeciwu z mojej strony (pamiętałem bowiem warunki postawione przez rodziców wnuka) para wzięła przeszkodę jak doświadczony team olimpijski. Ogromne wrażenie zrobiła przy tym niezwykle precyzyjność skoku. Łydka jeźdźcy przeszła mniej więcej 10 cm od najwyższej krawędzi korniera i tyleż od tyczki.

W konkursach klasy N wysokość przeszkód wynosi około 120 cm

Wszyscy, nie wyłączając gospodarzy toru, byli pod wrażeniem, nie wierząc do końca, że ten koń nigdy w życiu niczego podobnego nie skakał. Obecny tam hodowca sugerował nawet niezwłoczne użycie klaczy do hodowli. Na mniej więcej dwa tygodnie przed zawodami jeździec, bardzo zajęty sesją i oddalony o kilkaset kilometrów, poprosił mnie o sprawdzenie, czy koń na pewno skacze rowy z wodą. W trakcie próbnego krosu panowały bowiem bardzo wysokie temperatury i przeszkody z wodą były bez wody. Zachodziłem w głowę, jak w warunkach domowych to zrobić? Upał trwał nadal, a teren, na którym zwykle jeżdżę, nie należy do mnie, tylko do Kampinoskiego Parku Narodowego. Kiedy wreszcie udało mi się zbudować coś w rodzaju przeszkody z wodą, otrzymałem od wnuka kolejne zadanie: odpowiednio wygalopować konia przed zawodami. Robiłem to, słowo daję, z pełnym poświęceniem. Codziennie po kilka kilometrów galopu w dobrym tempie. Do dziś nie mogę uwierzyć, że mój stary kościec to wszystko wytrzymał...

Zwykle koniec wieńczy dzieło. Tym razem jednak było inaczej... Kilka dni przed zawodami okazało się, że w tym samym czasie miały się odbyć inne zawody... skokowe, w których udział wnuka okazał się ważniejszy. Jestem jednak przekonany, że był to dyplomatyczny wybieg rodziców, obawiających się o zdrowie syna startującego w nie swojej dyscyplinie i na niedoświadczonym koniu.

Cóż było robić... pozostało kontynuować jazdę amatorsko w puszczy. A szkoda, bo była to pewnie moja ostatnia szansa na sukces w roli berajtera. Marzenie o zbliżeniu się do „wyniku” niedoścignionej pani inż. Wandy Wąsowskiej, która w trakcie jubileuszu 80-lecia świętowanego w Starej Miłosnej dosiadła z powodzeniem żywego byka, nie spełniło się. Niestety straciłem również szansę na utwierdzenie się w przekonaniu, że mam w stajni najczystszej próby diament krosowy rodzimej

hodowli. Chociaż, patrząc na matkę, widać po kim ma tak interesujące zadatki...

Wierzę, że w niedalekiej przyszłości ktoś w naszej okolicy, tak przecież mocno nasyconej ośrodkami jeździeckimi, zamiast kolejnego pola golfowego zbuduje „amatorski” kros i udostępni go, oczywiście odpłatnie, entuzjastom jeździectwa, preferującym, podobnie jak ja, nieco większe dawki adrenaliny.



Klacz Orla sp
(Ceitik - Optima
po Keszar xx)
pod 78-letnim
autorem skacze
jedną z przeszkód
terenowych
fot. K. Szarata

Postowie

Zawarte w tym zbioriku wspomnienia to zapis kilkunastu najciekawszych przygód, związanych z końmi, z moim udziałem. Spisałem je, licząc na to, że okażą się interesujące, a momentami zabawne, także dla innych. Jednak, co ważniejsze, mam nadzieję, że książka ta będzie przede wszystkim zachętą, by aktywnie żyć i z entuzjazmem patrzeć w przyszłość. Uważam, że każdy może dokonać w swoim życiu rzeczy niezwykłych, dlatego warto próbować...

Moja recepta na życie „bez precedensu”? optymizm, by marzyć. Entuzjazm i wiara, by swe marzenia realizować. Pewność, że porażki są potrzebne, by się rozwijać.

Moje ulubione motto (a właściwie dwa): „Brać byka za rogi” i „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”.

A jeśli spytałiby Państwo, jakie są moje plany na najbliższą przyszłość, to odpowiem, że chciałbym przygotować naszego kuca i najmłodszych wnuków do zawodów w powożeniu...Tego jeszcze nigdy nie robiłem. Najwyższy czas podjąć wyzwanie, wszak zegar tyka...

Na koniec życzę Państwu wielu sukcesów: sportowych, hodowlanych i życiowych.

Autor

Copyright © Jerzy Milczarek 2017

redakcja:

Karina Szarata

tekst:

Jerzy Milczarek

rysunki:

Krzysztof Milczarek

projekt graficzny:

Karina Szarata

dtp:

Krzysztof Niedbała

korekta:

Katarzyna Tomasińska

produkcja:

Wydawnictwo Epograf

Copyright © Wydawnictwo Epograf 2017

ISBN 978-83-62910-77-9

Wydanie I

Wydawnictwo Epograf
ul. Warszawska 37
05-082 Blizne Łaszczyńskiego
wydawnictwo@epograf.pl
epograf.pl



druk: **EU**

Bez **precedensu...**

Jerzy Milczarek

Spis treści

Bez precedensu...

1. pod każdym względem.....	5
2. WAHO i wiadro kawioru.....	19
3. kadryl w Laponii.....	25
4. tłuczkiem do mięsa.....	31
5. aukcja w barze.....	35
6. w Scottsdale, Arizona.....	41
7. polskie araby w blasku światowych sław.....	49
8. licytowałem w Newmarket.....	59
9. wodolotem na CDI Kopenhaga.....	65
10. z lasu na konkursowy czworobok.....	73
11. jak będąc 75+ rozpocząłem przygodę z WKKW.....	79



Przeżyć z końmi sztorm na statku szmuglującym amunicję?
Zorganizować aukcję, która przejdzie do historii? Wyprowadzić
konía „z lasu” na czworobok Mistrzostw Europy? Czy w wieku
75 lat zacząć trenować WKKW? Czemu nie! Przecież życie to
przygoda pełna wyzwań i niespodzianek. Wystarczy tylko trochę
 optymizmu, entuzjazmu i determinacji...

Wspomnienia Jerzego Milczarka, od młodości zakochanego
w koniach, a od lat związanego z nimi zawodowo i hobbystycznie,
to szczypta historii doprawiona humorem i ciekawą puentą. Bawią,
zaskakują i przekonują, że warto mieć marzenia.

ISBN 978-83-62910-77-9

